Numer 53 Nal. poczt. opl. rycz. Dnia 30 Grudnia 1928

ROLA

KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Przyjemny pułk.

— Bartek! jak cię wezmą do wojska, to do jakich chciałbyś wstąpić?

— Do tych, co to chodzą w niedzielę z kucharkami!



Wstydliwy i po śmierci.

— Ludwik! Ty jesteś mi niewiernym, ja się utopię!

— To lepiej utopmy się razem, skoro tylko szewc moje ostatnie pary butów przyniesie, bo to przecież wielki wstyd boso się topić.



Krzysztof Szydłowiecki, kasztelan krakowski, miał nadwornego błazna, Biernasza. Pewnego razu zebrane grono gości u kasztelana bawiło się drwinami z Bieniasza. Gdy się to wreszcie błaznowi sprzykrzyło, odezwał się z powagą:

— Widzę, że większym jestem panem od samego kasztelana; on ma jednego błazna do zabawy a ja tylu, ilu tu jest waszmościów.

Stropieni tym przycinkiem goście zaprzestali żartów.

Także zajęcie.

— I jak ty możesz wytrzymać bez żadnego zajęcia?

— Wybacz, mylisz się, bo jestem teraz bardzo zajęty... pewną brunetką.



Ucieszył go.

W i e r z y c i e l: — Po raz ostatni zapytuję pana, kiedy pan nareszcie odda mi pieniądze?

D ł u ż n i k (ucieszony): — Po raz ostatni?! Chwała Bogu!



Dziedziczne.

— Słyszałem niedawno syna pańskiego, jak przemawiał na zebraniu. Ma wspaniały głos.

— A no! Podał się na ojca.

— Mówił bez przerwy trzy godziny!

— To już ma po matce.

— Powiedzcie mi, dlaczego krowy w tej okolicy są tak strasznie chude?

— To z powodu pięknych widoków, krowy patrzą na nie, zamiast się paść.

Numer 53. Rok XI. Kraków, dnia 30 Grudnia 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Nasz obrachunek.

Dobry gospodarz, gdy skończy swoją pracę, robi obrachunek i zastanawia się, czy wszystko należycie wykonał, czy czego nie zaniedbał, czy czegoś nie należałoby poprawić i w czemś swej pracy uzupełnić. Czyni to każdy dobry gospodarz, bo chociaż przed nikim nie jest odpowiedzialny, to sam dla siebie chce wiedzieć, czy swoje zadanie dobrze spełnił.

Taki obrachunek po pracy całorocznej należy i nam zrobić tembardziej, że pracujemy nie dla siebie, ale dla ogółu społeczeństwa. Wprawdzie pracę naszą z tygodnia na tydzień oceniają sami Czytelnicy i możemy się poszczycić, że ta ocena wypada dla nas pochlebnie, co udowadniają setki listów, jakie przynosi nam poczta codziennie.

Nie znaczy to jednak, aby „Rola“ zadawalała wszystkich bez zastrzeżeń, otrzymujemy bowiem i listy, w których Czytelnicy dają nam pewne rady, których my jednak spełnić nie możemy, ani nie chcemy. Gdybyśmy bowiem usłuchali rad jednego, zrazilibyśmy ku sobie dziesiątki, a może i setki temwięcej, że nadsyłane nam rady i wskazówki są ze sobą sprzeczne. Gdy np. jeden z Czytelników radzi, aby w „Roli“ nie drukować powieści, ale same artykuły gospodarcze, to inny przeciwnie powiada, że do drukowania artykułów gospodarczych są pisma fachowe, więc „Rola“ nie powinna ich zamieszczać. Jeden żąda jak najwięcej obrazków, drugi chce je zupełnie usunąć, twierdząc, że szkoda na nie miejsca. Ma gorących zwolenników Maciek Bzdura, ale ma i przeciwników. Jedniby chcieli, aby prawił same morały, drudzy, żeby jego pogadanki były więcej frywolne i pieprzne. Są wielbiciele zagadek, ale są i ich przeciwnicy.

Gdybyśmy chcieli tych rad słuchać, to trzebaby wydawać niemal dla każdego inną gazetkę. A to przecież jest niemożliwe. W takiej gazetce jak „Rola“ musi być wszystko, to znaczy, że każdy z Czytelników musi w niej znaleść coś dla siebie, co go zainteresuje i zadowoli.

Dlatego też drukujemy w „Roli“ artykuły wstępne, które, jako krótkie rozmiarami, nie znużą nikogo, a omawiają niejedną aktualną sprawę i poruszają kwestję z życia codziennego.

Drukujemy stale dwie dłuższe powieści, które bywają czytane zaraz, że tak powiemy od ręki, ale też zachowują swą wartość i na czas późniejszy, dla dzieci i wnuków naszych prenumeratorów, bo „Roli“ nikt nie wyrzuca, ani nie niszczy po przeczytaniu, ale ją składa i przechowuje, aby znów po latach kilku przeczytać sam, lub dać do przeczytania innym.

Drukujemy krótsze opowiadania, nowelki, bajki i humorestki dla zwolenników krótkich utworów, które można przeczytać dorywczo między jednem a drugiem zajęciem.

Dajemy wierszyki dla zwolenników poezji i to utwory naszych Czytelników. Tu przyświeca nam myśl wyrabiania nowych talentów i dania im możności spożytkowania swych zdolności.

Czasem tysiące słów nie powiedzą tego, co jeden obrazek. Obrazki skłaniają do obserwacji i myślenia i dlatego je zamieszczamy.

Niewielu z naszych Czytelników ma możność podróżowania po dalekich krajach, a przecież powinniśmy choć pobieżnie poznać ten ogromny świat, jaki dla nas Pan Bóg stworzył. Dajemy więc opisy różnych krajów, opisy z obrazkami. Wiedząc, że długie rozprawy nużą Czytelnika, dajemy je w krótkich urywkach.

Nie pomijamy i spraw gospodarczych. Zamieszczamy je co tydzień, a przez rok uzbiera się ich tyle, że zebrawszy w całość możnaby utworzyć książkę wartości kilkunastu złotych. Dla naszych żywicielek dajemy poradnik kucharski. Mamy też na myśli zaprowadzenie i innych działów tego rodzaju.

Zagadki, szarady, łamigłówki są prawdziwą szkołą dla gimnastyki umysłu. Trudniejsze — dla więcej wyćwiczonych, łatwiejsze — dla początkujących. Ćwiczą one umysł i pozwalają spędzić czas przyjemnie.

Wreszcie Maciek Bzdura. Ma on tysiące zwolenników, choć ma i przeciwników. Jako człowiek szczery, mówi to, co myśli: czasem rozweseli, czasem podrażni tego i owego. Niektórzy zarzucają mu, że nie obwija w bawełnę swoich powiedzeń, ale czynią to

tylko tacy, którzy sami nie są bez winy. I gdyby tylko tyle mieli grzechów, co Maciek, zapewne po śmierci poszliby wprost do nieba. Zresztą nie dziwcie się mu, boć to chłop nieuczony, a jeżeli nawet coś „chlapnie", to nie ze złego serca. Jeżeli n. p. porówna pijaka z świnią, to gotów świnię przeprosić, że jej krzywdę uczynił.

Taką była „Rola" w zeszłym roku i taką mamy zamiar utrzymać ją w przyszłym, z tem jednak, że jeszcze więcej będziemy zwracali uwagi na dobór rzeczywiście interesujących powieści, ciekawych artykułów i na obfitość omawianych wydarzeń. Ożywimy naszą kronikę i dział „Rzeczy ciekawych", będziemy zważali na ilość i jakość ilustracyj, a to wszystko postawi „Rolę" jeszcze na wyższym poziomie i uczyni ją bardziej zajmującą.

Przy tem wszystkiem mamy nadzieję, że Czytelnicy nie odmówią nam i nadal swego poparcia, ale owszem zachęcą swych znajomych, aby weszli w koło naszych Przyjaciół. *Redakcja.*

WALERY PRZYBOROWSKI.

Bitwa pod Raszynem.

Powieść historyczna.

XIII.

Cynga, wsłuchując się w ów daleki huk i grzmot, nie mógł w żaden sposób pojąć, coby znaczył.

Cynga począł się niepokoić.

— Co to być może? — szeptał.

— Może się gdzie biją — szepnął Janek.

— Ja to samo myślałem i zapewne tak jest! — mruknął Cynga, a potem dodał z niechęcią — nieszczęście i basta!

— Dlaczego nieszczęście?

— A bo jeżeli się biją, to na naszej drodze. Tylko w tamtą stronę możemy się udać, żeby się wymknąć z rąk bandy.

Nagle urwał, roztworzył szeroko oczy i usta, słuchał długo, potem rzucił się na ziemię i przyłożył ucho do ziemi. Gdy się podniósł i usiadł na ziemi, był blady, bardzo blady.

— Co ci jest, Cyngo? — spytał Janek, przestraszony wyrazem twarzy swego towarzysza.

— To mi jest — odrzekł tenże, ponuro patrząc — że Romno nas ściga, jest już na naszym tropie...

Znowu przyłożył ucho do ziemi i szeptał:

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć koni... pędzą wyciągniętym kłusem... będą tu najdalej za pół godziny. O! nie omyliłem się, to oni.

Zerwał się żwawo, a twarz jego, choć blada jeszcze, ale była pełna stanowczej energji. Skoczył do pasącego się spokojnie konia, okiełznał go, opatrzył, czy kopyta ma dobrze owiązane szmatami i zawołał:

— Dalej na koń! trzeba uciekać i tak za długo tu siedzieliśmy. Nich się co chce stanie, musimy wprost jechać, choćby w sam środek Austrjaków. Wolę całe piekło spotkać, niż Romna!

I skoczył na konia, a za nim Janek. Odrazu ruszyli z kopyta. W parę minut wydostali się na drogę, którą pognali wprost, nie zważając na to, że prowadziła ona przez pola, i że skutkiem tego byli widziani na znaczną przestrzeń. Gdy pod tym względem Janek zrobił uwagę swemu towarzyszowi, że możeby lepiej było nie opuszczać lasów, ten odrzekł:

—Teraz nam wszystko jedno. Są na naszym śladzie i wszędzie nas znajdą. Cała nadzieja w szybkości konia, który nas dźwiga dwóch, nie mamy więc czasu na nakładanie drogi — uciekajmy i koniec!

Pędzili więc dalej, a choć wkrótce przyszło im przez wieś przejeżdżać, nie zważali na to. We wsi spotkali wielki ruch i wyraźny popłoch. Kobiety z dziećmi uciekały ku lasom — chłopi ładowali na fury swe sprzęty i także uciekali. A jeden, widząc pędzących naszych bohaterów, wołał na nich:

— Nie jedźcie tam, tam się biją!

Ale Cynga nic na to nie odrzekł, tylko gnał dalej. Huk z każdą chwilą się wzmagał. Widocznie bitwa wrzała na dobre i to bitwa niezbyt oddalona.

Janek drżał z obawy, żeby nie wpaść w sam środek Austrjaków. Przeżegnał się więc, zmówił cichą modlitwę i zdał się na wolę Bożą.

Nakoniec wjechali w las. Huk strzałów armatnich był coraz bliższy, coraz wyraźniejszy. Nie ujechali przez las i czterdziestu kroków, gdy ujrzeli na środku drogi leżącego z rozprutym brzuchem konia, a pod nim nieżywego ułana polskiego.

Janek i Cynga mimowolnie zatrzymali się, zwłaszcza, że koń ich na ten straszny widok odskoczył w bok. Cynga, który przez chwilę poszamotał się z przestraszonym koniem, nagle zeskoczył z niego i pobiegł do ułana.

— Cynga, co ty chcesz robić? — zapytał zdziwiony tem Janek.

— A co? — mruknął Cynga — temu biedakowi szabla i pistolety już niepotrzebne, a nam się przydać mogą.

I ze zwykłą sobie szybkością odwiązał od trupa szablę, przypasał ją sobie, wyjął pistolety z olstrów, obejrzał, czy nabite i wsadził za pendent szabli.

Ruszyli znowu galopem.

Wtem dobiegł ich uszów smutny, żałosny jęk. Patrzą, a na skraju drogi, pod krzyżem, leży drugi ułan polski i ręką przytrzymuje krew, toczącą mu się z piersi. Zobaczył on naszych bohaterów, którzy się zatrzymali, zdziwieni i przerażeni tym widokiem i zawołał słabym, widocznie z wysiłkiem dobywanym głosem:

— Na rany Chrystusa Pana, dajcie mi choć kropelkę wody — usycham z pragnienia! Bóg wam to wynagrodzi, ratujcie mnie!

— Cyngo! — zawołał Janek — możesz jechać, ja zaś zostanę tutaj i poszukam wody dla tego biednego żołnierza.

— Czy nie wiecie, żołnierzu, gdzieby tu była w pobliżu woda? — zapytał.

— Owszem, wiem... niedaleko... i gdyby nie rana i nie upływ krwi, dawnobym się tam był zawlókł... idź, paniczu, prosto w las, może pół stajania, a znajdziesz staw... naczerp mi wody, oto w ułankę moją. Czekajno, paniczu, chcesz mieć broń i konia... to ci powiem, gdzie je znajdziesz... ale przynieś mi wody prędko, bo czuję, że mi się słabo robi.

Janek nie dał się dwa razy prosić. Wkrótce znalazł staw, naczerpał wody i gdy ją przyniósł, ułan prawie połowę duszkiem wypił — w drugiej połowie zmaczał szmatę i przykrył nią ranę swoją, a potem rzekł do Janka:

— Jedźcie już. O kilkadziesiąt kroków znajdziecie małą łączkę, na której leży kilka uzbrojonych trupów huzarów austrjackich... Mają oni nawet karabinki kawaleryjskie, co wam się lepiej przyda jak pistolety. Może znajdziecie tam jeszcze ich konie, bo jakem ja

jechał, to jeszcze były, właśnie chciałem je zabrać, gdy mię nagle obskoczyli ci rabusie .Pandury...

— Jedźmy, paniczu, poszukać tych huzarów... ułan dobrze radzi! — wołał Cynga, zjeżdżając z drogi w las.

Janek puścił się za nim pieszo i w istocie, o kilkadziesiąt kroków od drogi znaleźli małą łączkę, stratowaną mocno, zasłaną kilkunastu trupami ludzi i koni, pełną krwi i rozrzuconej dokoła broni, szabel, lanc i kołpaków huzarskich. Ale co ich najwięcej ucieszyło, to widok trzech całych i zdrowych koni, zupełnie okulbaczonych, pasących się spokojnie między trupami. Cynga zaraz wybrał dwa i, siadając na jednego, a drugiego dając Jankowi, rzekł do niego:

— No, terz Romna się nie boję! Dalej, paniczu, weź szablę, karabinek, ładownicę i siadaj na konia.

Janek ze wstrętem pozabierał, strasznie częstokroć porąbanym trupom broń i dosiadł dzielnego kasztanka. Ruszyli z powrotem — Cynga prowadził konia Romna za cugle.

— Czemu nie puścisz go? — pytał Janek.

— Puszczę, ale na drodze. Jak Romno go spotka, będzie myślał, żeśmy wpadli na Austrjaków, albo poginęli i przestanie nas gonić. Zresztą powiadam, teraz drwię sobie z całej bandy cyganów.

Ledwie wyrzekł te słowa, a właśnie wjeżdżali na drogę, gdy w pobliżu ich zadudniała ziemia, rozległ się głośny krzyk i nasi bohaterowie ujrzeli gromadę pędzących, co koń wyskoczy, cyganów, a na czele ich Romna z podniesionym batogiem w ręku.

XIV.

Cynga i Janek, ujrzawszy tak nagle bandę swych prześladowców, lecącą ku nim co koń wyskoczy, zrazu skamienieli. Cyganów było pięciu, a na ich czele pędził Romno z batogiem w ręku, którym groził dwom bohaterom. Za nim, pochylony na koniu, gnał jeden z cyganów i trzymał w ręku długi sznur, podobny do stryczka, zwany „lasso", którego używają Amerykanie i Węgrzy do łapania bydła. Widocznie skradał się on, żeby taki stryczek zarzucić na Janka lub Cyngę i ściągnąć go z konia. Romno, grożąc batogiem, krzyczał coś po cygańsku, czego Janek nie rozumiał — a cygan z owem lasso, przysunąwszy się do naszych znajomych, którzy wciąż stali nieruchomi na drodze, na odległość może dziesięciu kroków, i nagle z niesłychaną zręcznością podniósł się na koniu, wyprostował w strzemionach z głuchym świstem rozwinął stryczek i już miał uchwycić nim bliższego Janka, gdy rozległ się niespodzianie strzał, cygan zachwiał się, rzucił parę razy rękami w powietrzu, upuścił stryczek i padł śmiertelnie ugodzony na ziemię.

Wszystko to stało się w jednej krótkiej chwili, prędzej, niż potrzeba czasu na przeczytanie tych wierszy. Nagły ten strzał, wymierzony przez rannego ułana, który, odwdzięczył się Jankowi za podaną mu wodę, ocalił mu życie, przeraził na chwilę cyganów, a wrócił przytomność Cyndze i Jankowi.

Uniknąwszy szczęśliwie niebezpieczeństwa, nakoniec wyjechali z lasu i przed oczami ich roztoczył się straszny, ale zarazem piękny widok.

Na obszernej równinie, której jedynym wydatnym punktem była wieża kościółka Raszyńskiego, kryta blachą i otoczona kłębami dymu palącego się miasteczka, rozwinęły się, jak dwa olbrzymie węże, dwa wojska, ziejące na siebie ogniem i pociskami. Oba wojska były bokiem zwrócone do Janka i Cyngi i z dwóch, polskie bliżej. Huk, grzmot ponury dział, chmury dymu, włóczące się i owijające sobą walczących, dopełniały tego obrazu straszliwego...

Była to sławna po wsze czasy bitwa pod Raszynem, stoczona w dniu 19 kwietnia 1808 r. Właśnie walka ta była w najwyższym swoim rozwoju, gdy Janek i jego przyjaciel wpadli jak szaleni w swej ucieczce przed cyganami na prawe skrzydło polskie.

W tejże chwili pierwszy pułk strzelców konnych polskich, w wyciągniętej linji, z dobytemi szablami posuwał się całym pędem przeciw huzarom austrjackim. Trąbki zagrały do ataku i kiedy to posłyszy ich odgłos koń Janka, jak się nie porwie, miły Boże! jak szalony ruszył z kopyta ku długiej linji szaserów polskich. Janek nie mógł go powstrzymać, wreszcie nie chciał. Owionął go zapach prochu, rozgrzał, czuł, że mu wszystka krew gra w żyłach w takt pobudki wojennej. Ledwie miał czas obejrzeć się na Cyngę, który także ruszył naprzód, ale nie ujechał i dziesięć kroków, gdy uderzony kulą padł na ziemię... O cyganach nie było ani słychu — zapewne zatrzymali się ostrożnie w lesie.

Janek nie miał czasu i nie mógł ratować biednego swojego przyjaciela. Uderzył kilka razy płazem swej szabli konia i tak już lecącego jak wicher i sam nie wiedząc, jakim sposobem znalazł się na czele pędzących do ataku szaserów polskich. Ożywiony jakimś niezwykłym zapałem i bohaterską prawie siłą, podniósł swą ciężką szablę do góry i wstrząsał nią jak stary żołnierz. Właśnie w tej chwili pędzący do ataku szaserzy przebiegali przed świetnem gronem oficerów, którzy stali na małem, piaszczystem wzgórzu...

Janek spojrzał na to grono. Mignęła mu się tylko przed oczami wśród bojowego dymu i kurzu bohaterska twarz księcia Józefa, jego wielkie, czarne oczy, błyszczące ogniem i zapałem — słyszał głośny, jednobrzmiący okrzyk jazdy polskiej i nagle ujrzał się tuż, tuż, prawie twarz w twarz z rotmistrzem von Lampe...

Widział go doskonale. Leciał na ogromnym, jak śnieg białym koniu i potrząsał szablą, krzycząc na swoich:

— Vorwarts!... Vorwarts!...

Jankowi przypomniało się w tej chwili wszystko, co ucierpiał od tego szkaradnego rotmistrza, ogarnęła go wściekłość na widok jego szyderskiego uśmiechu i, nie wiele myśląc, odwinął się i ciął z całej siły ciężkiem swem szabliskiem na odlew Austrjaka po twarzy. Krew bryznęła jak z fontanny, rotmistrz zachwiał się na koniu, rozkrzyżował ręce i zawoławszy:

— Herr Jesus! — padł z konia na ziemię.

A tu już, ze strasznym łoskotem i hukiem, jak dwie gromonośne chmury, zwarli się huzarzy z szaserami i biedny rotmistrz zatratowany został na nic.

Bitwa zakończyła się zupełnem zwycięstwem Polaków. Zwycięscy uformowali się w szeregi a pośród nich stał Janek, oblany potem i znużony śmiertelnie.

Przed frontem, na świetnym karym koniu stał książę Józef, otoczony błyszczącym od srebra sztabem i przemawiał coś do wiarusów.

A kiedy skończył, jeden z wiarusów, wskazując na Janka, zawołał:

— Niech żyje młody bohater! niech żyje! niech żyje!

I jak gdyby na dane hasło szeregi poczęły potrząsać szablami i bermycami w najwyższem ożywieniu i zapale.

Janek, zdumiony tem przyjęciem, onieśmielony, z palącym rumieńcem na twarzy, zatrzymał się i nie wiedział, co ze sobą zrobić. Widząc zwrócone na siebie wszystkich oczy, radby był pod ziemię się zapaść.

Książę Józef spiął konia i w szczupakach przypadł do Janka i rzekł, wpatrując się w niego swemi wielkiemi, jak brylanty błyszczącemi oczami:

— Wiem o wszystkiem, widziałem cię, dzielny, bohaterski chłopcze!... Po raz to wtóry ojczyzna zaciągnęła u ciebie dług wdzięczności.

Kiedy to nie usłyszą szaserzy, miły Boże, jak znów krzykną:

— Niech żyje! niech żyje! krzyż mu dać, prosimy o krzyż! on będzie synem pułku! wiwat!

Janek uczuł ból w ramieniu, w które został raniony, znowu mu przed oczami poczęły latać czarne płatki, osłabł i gdyby go nie powstrzymano, byłby upadł z konia. Wszakże chłopiec i tym razem stracił przytomność.

ZAKOŃCZENIE.

I cóż wam, kochani czytelnicy moi, powiem więcej o losach bohatera naszej powieści? Zawieziony z krwawego raszyńskiego pobojowiska do Warszawy, z ogromnym rozgłosem o swym czynie, leczył się w prywatnym domu z ran, otoczony największą troskliwością. A potem, gdy zawarto pokój, kosztem Warszawy oddany został do szkół i z czasem wyrósł na zacnego i zdolnego obywatela kraju, dając z siebie przykład energji, odwagi i poświęcenia.

KONIEC.



Fragment legendy górniczej.

W stumertowej głębi pod ziemią — w srebrzystych iskrzących się katakumbach wykutych przez czarne ręce górników — rozpoczyna się wielkie święto sabatu...

Zadrżały, zadzwoniły tajemnicze szmery — jak krople opadających ros — i popłynęły długim kurytarzem podziemi, wśród białosrebrnych skał: Popłynęły jak szum rozkołysanej fali... i jak morze rozlewających się łez...

I nagle... jakieś niesamowite a potężne echo, uderzyło w przestwórz ponad ziemią i rozpłynęło się cichem graniem, wszerz i wzdłuż, hen po polskiej ziemi.

— Z Wieliczki! — oznajmia czyjś tajemniczy cichy szept, który płynie na falach eteru i uderzą o serca... i o słuch, wielutysięcznych radjosłuchaczy, przykutych do małych muszli słuchawek.

Tajemniczy ten szept, tłumaczy dzieje podziemi: mówi o świątyni Kingi, ze srebrnosolnemi posągami. . o tajemniczej głębi komory Sienkiewicza... Opowiada historję czarnych spracowanych rąk, które kują bez ustanku podziemne krużganki...

W opowieści tej cichej, przerywanej — dźwięczy jak dzwon daleki, legenda długich wieków... odbija się łoskot uderzających kilofów i groźba łamiących się skał...

Aż nagle!... w legendę opowieści, uderza wielki potężny śpiew:

„Kiedy ranne wstają zorze Tobie ziemia Tobie morze“, — śpiewa chór górników.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

W takt melodji płynącej, odzywa się granie skrzypiec... Ale co to? — granie płynie nie z pod ziemi, lecz gra ktoś stojący tuż za drzwiami...

„Kiedy ranne wstają zorze“ — drży melodja z pod grubych palców siwego grajka...

Szare bezbarwne oczy w oprawie czerwonych powiek, zaszklone są bielmem łez, nigdy nie wypływających... a usta skrzywione w grymas uśmiechu, nie wypowiadają tego, co serce czuje... Tylko palce hyżo mkną po strunach skrzypiec i wydobywają tę samą rozełkaną melodję pieśni, którą w tej chwili śpiewają tam w podziemiach współtowarzysze jego dawnych lat:

Kołysany marzeniem... zasłuchany w echo dalekich tonów... zapomina powoli o szarym widmie stojącego przy nim dnia... i schodzi w granitowy kurytarz podziemi, wykuty niegdyś jego żelazną ręką — podejmuje z ziemi leżący od wieków zardzewiały młot i, uderza nim z siłą tytana w twardą opokę skały, która rozpryskuje się w drobne brylantowe okruchy.

— Skarby! — szepcze upojony radością — same brylanty, topazy i ametysty, sypią się z robitej skały...

— Nareszcie odpocznę! — wzdycha z ulgą.

...O bądź błogosławiony, o Boże! któryś jest mocen rozświetlić „ranne zorze“, nad ciemną nocą nędzarzy... Który pozwalasz myślom marzyć... a sercu śnić, o spoczynku...

Stary górnik marzy: O skarbach długoletniej swej pracy... o zasłużonym na stare lata spoczynku... i gra rozełkaną melodję, dawnych swych lat.

A wtem, otwierają się drzwi, przed któremi stoi rozmarzony grajek — i czyjaś dłoń wsuwa w rękę starca kilka groszy. A potem zaraz cienki głos rozkazuje:

— Zagrajcie no dziaduniu tego walca co to umiecie...

Zadrżały struny... Wpół tonu niedokończona, zerwała się pieśń.

Ale już za chwilę, posunęły się znowu rozdygotane palce po strunach skrzypiec — i wypłynęła, wolno leniwie — niby szloch wydarty z pod serca — melodja niesamowitego walca.

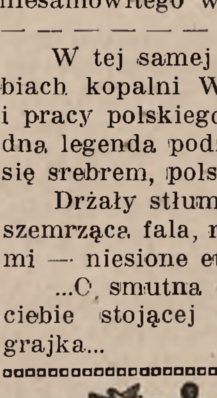
— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

W tej samej chwili, rozgrywało się dalej, w głębiach kopalni Wieliczki tajemne misterjum święta i pracy polskiego górnika. Powstawała jak żywa, cudna legenda podziemi zakuta w białe szaty, skrzącej się srebrem, polskiej soli...

Drżały stłumione dźwięki muzyki i śpiewu i jak szemrząca fala, rozpływały się nad powierzchnią ziemi — niesione eterycznemi falami polskiego radja.

...O, smutna legendo górnicza!... Nie zapomnimy ciebie stojącej pode drzwiami, w postaci siwego grajka...

Kachna Ł. Łza.



Szczęście.

Snuje się ludzi ciżba... Każdy goni
Za szczęścia wielkiem, nieuchwytnem słońcem,
Wskazuje ciała od bolu krwawiące
W tej bezlitosnej, rozpacznej pogoni.

Smagany losu zawistnego batem
Pędzi tłum ludzi z oszalałym wzrokiem.
To słów harmonją, to przekleństw potokiem
Stara się dostać te szczęścia pryzmaty.

Lecz ulatuje szczęście wciąż bez końca
Jak puch... boć puchem jest tylko ulotnym,
A dusza cierpi, krwią, łzami płacząca...
Choć wabi błyskiem blichtru wciąż zalotnym

Adolf Fierla.

KSIĄŻE JÓZEF POD RASZYNEM.



W uzupełnieniu powieści naszej p. t. „Bitwa pod Raszynem", której druk kończymy w numerze dzisiejszym, podajemy powyżej obrazek, przedstawiający epizod z owej bitwy.

Pod Raszynem wojskami Księstwa Warszawskiego dowodził książę Józef Poniatowski — austrjackimi arcyksiążę Ferdynand d'Este. Na prawem skrzydle polskiem, dowodził generał Kamiński — środek w Raszynie zajmowali sprzymierzeńcy polscy, Sasi pod generałem Dyhernem — lewe skrzydło w Falentach, a raczej w sławnym lasku Falenckim, miał pod sobą pułkownik Godebski. Główna największa bitwa toczyła się o ten lasek. Tutaj Polaków od ich wroga oddzielała mała, ale błotnista rzeczka Rawka, przez którą przeszła masa kawalerji austrjackiej, huzarów, kirasjerów, Pandurów i zamierzała uderzyć na prawe polskie skrzydło. Przeciw nim wysłał generał Kamiński wszystką jazdę polską, jaką miał pod ręką. Pierwszy pułk strzelców konnych polskich, w wyciągniętej linji, z dobytemi szablami posuwał się całym pędem przeciw huzarom austrjackim. Trąbki zagrały do ataku. Ze strasznym łoskotem i hukiem, jak dwie burze, z dwóch stron walące, zwarli się huzarzy z polskimi strzelcami. Austrjacy chwiać się zaczęli, gdy wśród tumanów przybyła im na pomoc nowa kolumna jazdy. Ale sypnęły na nią ogniem, z boku trzy polskie armatki i smagały ją ogniem i żelazem.

Na pomoc naszym poskoczyli ułani polscy. Rzucili się w wir walki z lancami do ataku, przy których warczały trójbarwiste chorągiewki, a amarantowo-białe kitki ich ułanek wiatr i kule całowały.

Nareszcie huzarzy zaczęli uciekać za rzekę, zrazu pojedynczo, potem gromadnie, a saserzy polscy jechali im na karku i rąbali nielitościwie, a ułani kłuli ich lancami i siekli szablami.

Zwycięstwo było zupełne. Powracające pułki z pościgu powitały księcia Józefa Poniatowskiego gromkiemi okrzykami, a wódz wyrażał uznanie dla tych, którzy najwięcej w krwawym boju się odznaczyli i dziękował im za poniesione trudy dla Ojczyzny.

Obrazek nasz przedstawia chwilę, gdy książę Józef (drugi z lewej strony) wydaje polecenia oficerowi ordonansowemu, aby ten rozkaz wodza poniósł dalej i polecił jego wykonanie.

Po prawej stronie księcia znajduje się jego sztab, a na ziemi leżą zabici i ranni, którzy na zawsze lub na czas dłuższy stali się niezdolni do walki. Tu i ówdzie widzimy porozrzucane karabiny i inną broń, jest też ranny koń, który ostatkiem sił próbuje powstać z ziemi, chociaż nadaremnie.

Książę Józef Poniatowski, jak wiadomo, odbył później całą kampanję z Napoleonem przeciw Rosji w 1812 roku, a wreszcie w 1813 zginął w rzece Elsterze podczas krwawej bitwy pod Lipskiem. Należy on do największych bohaterów polskich, którzy przelewali krew i oddali swe życie za Ojczyznę.



Jak to dobrze, ze jest Poniezus na świecie! Bez Niego wszyscy ludzie bidni toby byli jesce bidniejsi i bardziej opusceni, jak są teraz. Bo u Pana Jezusa to wsio jedno, cy sie kto urodził na malowanem w kwiatki łózku, cy na prostem barłogu, a nawet na wyrku w stajni między ogonami. I On, jak ino trza będzie, to nietylko na mnie zawoła „Maciuś! Maciuleńku!", ale nawet na pana dziedzica: Jasiu, a na księdza kanonika: Franuś, a na grobarza: Kuba i na kuzdego inksego tak, jak go przy chrzcie świętem przezwali. Poniezus nie będzie stał z capą w ręce ani przed panem starostą, ani przed panem wojewodą, ani przed żadnem inksem generałem, jak nie będzie stał i przedemną, ale se załozy złocistą koronę na główkę i będzie patrzył na ludzi litosiernem okiem, jakie my naprzeciw niego wszyscy mikrne zebraki.

Tak będzie, gdy nas po najdłuzsem zyciu wyciągną za plebańską stodołę, ale tak jest i dzisiaj, choć Poniezus jest w niebie, a my na ziemi. Bo i dziś gdy bidnego cłeka na ziemi wszyćkie ludzie opuscą i sami mają sie za niewiedzieć co, to se taki opuscony hudacyna idzie do kościółka, do Pana Jezusa i z nim se pogada za pan brat, ile chce i jak chce. A Panu Jezusowi wszyćko jedno, cy to przyjdzie do Niego pan hrabia ze Psztykowa, cy Maciek Bzdura z Psiej Wólki. On nie patrzy, w jaką kto jest ubrany kapotę, cy ma w kiesonce złoty zygarek i w gębie złotem śtukowane zęby, cy tez goliznę jego okrywają zgrzebne portasy.

U Niego za nic bogactwa i za nic uroda. On chętnie pociesy piegowatą i zospowaną Magdę od Pamuły, anizeli wyfiołkowaną i wylizaną Baśkę wójtowne. Bo On przecie wie, ze na Magde spadło niezasłużone niescęście, a Baśka wyfiołkowała sie nie la Pana Jezusa, ale dla chłopaków na beśtefranty.

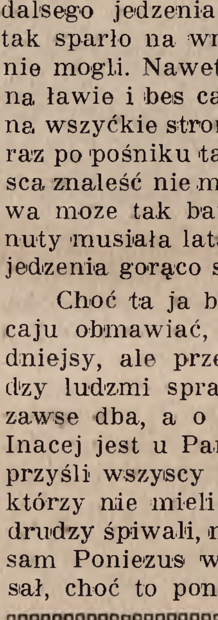
Poniezus nie będzie patrzył na cystą i cienką kosule, ani na jedwabne portasy, ale zaglądnie do środka cłowieka, cy tam jest cysto. Jemu nie nabajcy na nikogo zadna wyrafinowana dewotka, bo On sam najlepiej wie wszystko, jak jest i co jest. Ino na zydów będzie trochę patrzył z ukosa, bo sie będzie bał, coby Go drugi raz nie ukrzyzowali.

Takie myśli przysły mi zaraz po świętach, jak sie wszyćkie dary Boże skońcyły, jakie były do jedzenia. Bo bez święta było rozmaicie: w kościele dobrze, ale w chałpie nie całkiem. Co prawda, to gospodyni i na pośnik i na potem nagotowali co niemiara. Ale jesce samo ugotowanie, to nie wszyćko. Trzebaby to ućciwie spozytkować, a przy mojej gospodyni to rzec nie taka łacwa. Nie powiem, zeby tego wszyćkiego nie postawili na stole i zeby nie kazali jeść. Broń Boze! Nastawiali i pedzieli: „A teraz spozywajcie z Panem Jezusem!" Ale od powiedzenia do zjedzenia to jesce daleka droga. La jednych to ona bliska i rózami wysłana, ale la drugich okrutecnie daleka i bardzo kolcasta.

Jak ino gospodyni poustawiali wszyćko na stole, to zaraz sami przysadzili sie z jednej strony do misice, a z drugiej gospodarz i pucowali na zmiłowanie Pańskie. Zostało jesce ociupine miejsca, to tam wsadziła swą pełechatą głowe Kaśka i tak we troje oblegli miske, jak Turcy Wiedeń za króla Sobieskiego, ze ani rus było sie docisnąć. Radziłem se, jak ta mogłem, i to tu, to tam scypałem Kaśke, a jak sie ta na chwile od miski odwaliła, to i ja z tych smacności choć okrusynke uscknąłem. Ale ze to powiadają, ize scęście jest niedługo trwałe, tak tez i teraz było. Skoro ino gosposia zuźreli, zem ja sie jako tako zabrał do roboty, to mi zaraz kazowali to drew, to wody przynińć, albo ogonom w stajni zadać zarcia. A nim ja to zrobiłem i na nowo wróciłem, to dno było już cyściutkie i tak sie świcilo, jak głowa księdza kanonika.

Ale moze to i dobrze, bo jak sie pokazało potem, to ja na pośniku najlepiej wysedłem. Nie pojadłem se tam coprawda tak, jak na katolika chrześcijanina we świętą wiliję przystało, ale spanie miałem galantne i na drugi dzień wstałem całkiem gotowy do dalsego jedzenia. A natomiast gospodarza to cosik tak sparło na wnątrzu, ze się nawet z miejsca rusyć nie mogli. Nawet do łózka nie dośli, ale rozwalili sie na ławie i bes całą noc tłukli sie po niej i wywracali na wszyćkie strony. Nie lepiej było i z gospodynią. Zaraz po pośniku tak ich głowa rozbolała, ze se ani miejsca znaleść nie mogli i to dziw ino, jak taka głupia głowa moze tak bardzo boleć. A Kaśka to co śtyry minuty musiała latać na dwór za stodołę, tak jej od tego jedzenia gorąco sie robiło.

Choć ta ja bajek nie lubie i nikogo ni man zwycaju obmawiać, bo wiem, ze to grzych najpaskudniejsy, ale przecie zaraz zobacyłem, ze nima między ludzmi sprawiedliwości! Swój o siebie i swego zawse dba, a o samotnem bidaku ani nie pomyśli. Inacej jest u Pana Jezusa. Do kościółka na Pasterke przyśli wszyscy ci, co mieli zdrowse zołądki, albo ci, którzy nie mieli co w te zołądki wepchać. A jedni i drudzy śpiwali, moze nie tyle pięknie, co głośno, ze ich sam Poniezus w stajence Betlejemskiej chyba usłysał, choć to pono od Psiej Wólki okrutecnie daleko.



A czemu to tak.

— A czemu to tak matulu —
Choćby wśród śnieżnej zawieji
Nie zrodził się u nas Jezusek,
Tylko w dalekiej Judei?

Chyba tak nikt go nie kochał
I nikt Go może nie kocha
Jak u nas — prawda matulu?
Choć czasem człowiek zaszlocha.

— W Judei Jezus się zrodził,
Lecz zawsze przebywa z nami
Dając nam przykład dziecino:
Jak kochać, cierpieć ze łzami...

— To przyjdzie do nas Jezusek
Przez śnieżne lasy, mgłę siną,
Przez tę zawieję okrutną?
— O przyjdzie, przyjdzie dziecino!

Wincenty Kuglin.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Arabia i Arabowie.

Na południowy wschód od Ziemi świętej rozciąga się półwysep Arabski, którego powierzchnia jest niemal cztery razy tak wielka, jak cała Polska. Jest to jednak w przeważnej swej części bezużyteczna pustynia, gdyż tylko okolice, położone nad zatoką Perską i morzem Czerwonem są gęściej zaludnione.

Arabia jest kolebką religji mahometańskiej, gdyż tam żył i tam nauczał nowej wiary Mahomet. Jest to niejako kraina święta dla mahometan, chociaż najwyższej czci doznają tylko dwa miasta mahometańskie: Mekka i Medina.



Śladami karawany na pustyni Arabskiej.

Mekka położona jest w dolinie pustej, pośród pustych wzgórzy, po stokach których z doliny się wznosi. Według podań arabskich, czego zresztą uczył i sam Mahomet, na miejsce, na którem znajduje się świątynia Kaaba, zesłał Bóg kamień z nieba, a na kamieniu tym stał Abraham i budował ową świątynię. Kamień ten wraz ze świątynią, w której ścianie został wmurowany, jest przedmiotem tak wielkiej czci, że cały świat mahometański spieszy do nich w pobożnych pielgrzymkach. Znajduje się tu także źródło, które według wierzeń mahometańskich otwarł sam anioł. Źródło to nabiera jeszcze tem większego znaczenia, że okolica jest bezwodną pustynią.

Pielgrzymki do Mekki wywołują wielki ruch handlowy. Pielgrzymki z obawy przed rozbójnikami pustyni łączą się razem i tworzą wspólne karawany. Najznaczniejsze z nich mają swoje imiona. I tak syryjska karawana wychodzi z Konstantynopola, gdzie dawniej od sułtana dostawała jedwabne materje do obwieszenia Kaaby. Sam pasza Damaszku, albo wyższy wojskowy towarzyszył z wojskiem pielgrzymom, by ich osłonić przed Beduinami. Egipska karawana wychodzi z Kairu, zaś perska z Bagdadu i drogą na Tabris łączy się z syryjską.

Świątynia Kaaba przedstawia formę kostki, wysoka na dwanaście metrów, a szeroka na ośm, okryta jest wielkim czarnym dywanem, na którym wyhaftowany jest napis: „Niema Boga prócz Boga, a Mahomet jego prorokiem". Wokoło znajdują się święte studnie służące do oczyszczenia pielgrzymów, nadto podcienia, wsparte na słupach, kazalnice i różne budowle, służące do wykonywania nabożeństwa. Wszystko obwiedzione krytą halą, która zowie się Almesdzid-al-Haram, to jest świętym meczetem. Meczet ten jest najsłynniejszą świątynią u mahometan; zbudowano go jeszcze w 685 r. Świątynię Kaabę otwierają tylko trzy razy do roku: raz dla mężczyzn, raz dla kobiet, a raz dla jej oczyszczenia.

Dziesięć dni drogi od Mekki leży Medina. Przepisy religijne nie obowiązują każdego wyznawcy islamu do odwiedzenia Mediny, jak obowiązują do odwiedzenia Mekki, dlatego też do Mediny podróżuje o wiele mniej pielgrzymów. Podróż zresztą dla pielgrzymów przedstawia się bardzo uciążliwie, bo przez bezwodną pustynię, po żwirach granitowych, jamach, nagich skałach i grzbietach granitowych pagórków, nieraz pośród zawiei, miecącej tumanami gorących piasków, a do tego w towarzystwie nielitościwych ludzi. Nieraz pielgrzym znużony opada na ziemię, spieczonę gorącym żarem słońca, bez nadziei uzyskania od kogokolwiek pomocy. Mieszkańcy Wschodu nie znają litości. Skoro tylko karawana zniknie, obdzierają leżących pielgrzymów, a często i dobijają ich.

Medina leży w oazie obficie zroszonej wodami, wśród pustyni i skał bazaltowych. Domy jej z kamienia lub lawy. Miasto jest obronione zamkiem, stojącym na skalistem wzgórzu, a posiadającym 40 wież i bardzo grube mury. Meczet główny wznosi się na miejscu domu, w którym umarł Mahomet. Spoczywa on w srebrnej trumnie. Mieszkańcy żyją dostatnio z jałmużny pielgrzymów i datków, odwdzięczając się za to modlitwą za nich.

Jak to można już było z powyższego opisu zauważyć, Arabja posiada krajobraz bardzo niejednolity. Duże przestrzenie ziemi zajmują pustynie, sfalowane białymi lub żółtymi piaskami, co wygląda, jakby wzburzone wichrami morze, to znów widzimy rozrzucone nagie kamienie, pasma górskie nagie i zrujnowane, to rozległe, bujne zielenią mniejsze i większe oazy, a rojne po miasteczkach i wioskach ludnością z wyżynami, pełnemi pastwisk. Oto obraz środkowej Arabji. A przez te pustynne olbrzymie przestrzenie ciągną karawany, znaczące swą drogę kośćmi padłych wielbłądów, jak to widzimy na naszym obrazku.

Środkowa Arabja dzieli się na trzy części. Południową część zajmuje pustynia Dehna, zaś północną Nefud. Pomiędzy obiema temi pustyniami rozciąga się wyżyna Kasim, oddzielona z południa i północy górami. Po oazach Dehny uwijają się Arabowie i Wahabici.

Arabowie odegrali wielką rolę w cywilizacji. Byli najpierw roznosicielami filozofji greckiej, oni matematyce dali umiejętną podstawę, stwarzając cyfry arabskie i algebrę. Zmieszali się z różnymi ludami, wytworzyli przeto różne odcienia.

Na brzegach zachodnich zmieszali się z Negrami i Europejczykami. Arabowie południowi są ciemnego koloru, prawie czarnego, nizcy, z włosem kędzierzawym. Wnętrze kraju i północ, aż po Syrję, po Damaszek, zamieszkują Arabowie nomadyjscy, Beduinowie. Prowadzą do dziś, jak przed wiekami, niestałe

życie. Z trzodami swymi, owcami, wielbłądami, końmi, rzadko z bydłem rogatem, przechodzą z miejsca na miejsce. Ulubionem ich rzemiosłem jest rabunek. Nie są przed nimi bezpieczni ani mieszkańcy miast, i wiosek, spokój przed nimi okupują haraczem, który jest znacznie większy, niż podatki państwowe. Haracz stanowi bydło, ubranie, pożywienie, broń, sprzęty domowe.

Beduin jest smukły, zwinny, słusznego wzrostu, twarzy pociągłej, wielkich oczu i wielkiego nosa, zarostu na twarzy rzadkiego i układającego się w loki. Beduini mieszkają w namiotach, zrobionych ze skór kóz.

Wśród pustyni Syryjskiej i Arabskiej mieszkają plemiona pariasów, wzgardzone przez Beduinów. Nazywają się Solebi. Trudnią się wypasaniem osłów i polowaniem na gazelle. Przykrywają się skórami zabitych zwierząt. Uważają ich za potomków starych Babilończyków. Liczba pariasów zmniejsza się niemal z rokiem każdym tak, że niedługo może przyjść czas, że znikną zupełnie z powierzchni ziemi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ślepa niewolnica.

Rozdział XLIX.

Trybunał.

Gdy król powrócił do Warszawy, zwołał wkrótce trybunał, który miał sądzić zbrodniczą Jagiellonę.

Noc już zapadała.

Przy długim stole siedzieli wszyscy dostojnicy krajowi. Na stole paliły się świece w kilku świecznikach, a nadto stały na nim przybory do pisania i krucyfiks.

Król zajmował wywyższone nieco miejsce pośrodku. Po jednej jego stronie siedział prymas, przed którym leżały papiery.

Otworzono drzwi sali.

Dowódzca straży wprowadził Jagiellonę.

Nie przychodziła ona jak skruszona grzesznica, lecz dumnie zmierzyła wzrokiem zebranych sędziów.

— Jeżeli mam przed sobą sąd, — rzekła, to przedewszystkiem zanoszę skargę na to, że ja, wdowa po wojewodzie, byłam uwięzioną przez czas tak długi bez przesłuchania.

— Dosyć! — przerwał jej król, — stajesz tu pani nie jako oskarżycielka, lecz jako oskarżona. Panie Czarnowski, wnieś oskarżenie przeciw tej kobiecie, która splamiła swój stan wysoki i swój ród dostojny!

Jagiellona rzuciła na króla wzrokiem pełnym nienawiści.

Czarnowski powstał.

— Wdowa po wojewodzie Wassalskim, która z powodu zdradzieckich swoich knowań uciekła za granicę, — zaczął, — w niepojętem zaślepieniu posunęła się tak daleko, że udała się do wielkiego wezyra i ujętą została jako zdrajczyni stanu, gdy nieprzyjaciel został zmuszony do ucieczki. Oskarżam zatem wdowę Jagiellonę Wassalską o ciężką zbrodnię sprzymierzenia się z wrogiem naszej ojczyzny!

— Co pani możesz na to odpowiedzieć? — zapytał prymas oskarżonej?

— Oskarżenie jest niesłuszne, bo nie wymienia przyczyn mojego postępowania, — odpowiedziała Jagiellona, — nie uznałam nigdy wyboru króla, którego wyniosły na tron najrozmaitsze przebiegi! Jego dziełem była ta cała wojna! Jego dziełem było, żem musiała uciekać i u wroga szukać opieki! Chcecie mnie karać za to, żem poszła za mojem wewnętrznem przekonaniem? Pociągnijcie raczej do odpowiedzialności tego, który was niepotrzebnie wplątał w tę bezużyteczną wojnę!

— Znane są czyny, Jagiellono Wassalska, które cię wówczas zmusiły do ucieczki, — rzekł Sobieski, — a ja podnoszę przeciw tobie cięższe jeszcze oskarżenie niż o zdradę ojczyzny, jeżeli cięższa zbrodnia jest możebną! Sprzysięgłaś się z innymi na moje życie, byłaś przyczyną, że podniesiono przeciw mnie broń morderczą, ale tego ci jeszcze nie było dosyć, sama dolałaś trucizny do wina, które ja wypić miałem!

— Kto może mi tego dowieść!? — zapytała Jagiellona zimno:

— Ja! — odpowiedział Sobieski stanowczo, tyś to w zamku krakowskim, ażeby mi życie odebrać, nalała trucizny do mego wina.

Oskarżenie to głębokiem wrażeniem przejęło wszystkich.

— Nie ja wypiłem wino, — mówił Sobieski dalej, — przez pomyłkę weszłaś do innego pokoju i wypił je Jan Zamojski, kasztelan krakowski.

Słowa te nawet księcia prymasa głęboko wzruszyły.

— Poważ się zaprzeczyć! — dodaj do zbrodni tchórzostwo!

— Nienawidziłam cię, bom nie chciała, ażebyś zasiadł na tronie! rzekła Jagiellona.

— Nienawidziłaś mnie i nastawałaś na moje życie! Do tego miałaś odwagę przyznać się, — odparł Sobieski, lecz jakiż podasz powód, żeś własne swoje dziecko skazała na śmierć. Czyliż jest druga matka, którаby była zdolną zabijać powolnie swoje dziecko? Czyliście widzieli, gdzie podobną matkę? Patrzcie na nią, ona stoji przed wami!

Król zamilkł. Zakończył swoje straszne oskarżenie.

Jagiellona stała nieruchoma. Rysy jej były jak z marmuru wykute. Nie wyrzekła ani słowa na swoją obronę.

Książę prymas wstał poważnie i ponuro.

— Jagiellono Wassalska, czy uznajesz się winną? — zapytał donośnym głosem.

Nie było słowa odpowiedzi.

— Odprowadzić oskarżoną do więzienia, — rozkazał prymas, — wyrok będzie jej ogłoszony!

Oficer straży opuścił z Jagiellоną salę.

— Słyszeliście wszystko, — rzekł król, — znacie jej winę panowie. Wydajmy wyrok wobec Boga i ludzi, nie uważając na osobę.

— Panie Czarnowski, proszę zbierać głosy, — rzekł prymas poważnie. Czarnowski wstał, wziął stojącą na boku urnę zawierającą czarne i białe gałki i podał je każdemu z sędziów.

Następnie Czarnowski nakrył czarnem suknem próżną urnę i zaczął obchodzić wszystkich, żądając, aby wrzucili po jednej gałce.

Obszedłszy wszystkich, wrzucił swoją gałkę, a następnie na stół wysypał.

Wszystkie gałki były czarne.

— Wyrok zapadł jednomyślnie, — rzekł prymas, — Jagiellona Wassalska ma ponieść śmierć z ręki kata, jeżeli jej nie pozwolimy odebrać sobie życia.

— Z przeproszeniem księcia prymasa, — zauważył Czarnowski, — po jednomyślnym wyroku, ulga ta miejsca mieć nie może!

— Więc pozostawny jej wybór rodzaju śmierci, — rzekł książę prymas.

Jan Sobieski milczał. Inni asesorowie byli zdania, że oskarżona winna ponieść śmierć z ręki kata.

Prymas, obstający za złagodzeniem wyroku, musiał się przychylić do większości.

Sobieski zadzwonił i kazał Wychowskiemu wprowadzić kata.

— Kacie, — rzekł prymas, — uwięziona należy do ciebie! Wyrok śmierci zapadł na Jagiellonę Wassalską.

— Gdzie wyrok ma być wykonany dostojny panie? — zapytał kat.

— Na podwórzu pałacu, — odpowiedział.

— O której godzinie egzekucja ma nastąpić?

— Pojutrze o wschodzie słońca.

Posiedzenie było skończone. Wyrok zapadł.

Pożegnawszy sędziów, król udał się do swoich apartamentów, gdyż noc już była późna.

Rozdział L.

Śmierć Jagiellony.

Dziwnem było, że Marja Kazimiera chociaż wiedziała o wszystkiem co uczyniła Jagiellona Wassalska, czuła jednak dla niej pewną sympatję. Ów tajemniczy wpływ, który ta demoniczna istota wywierała na wszystkich, oddziałał i na królową tak, że wstawiła się za nią. Sobieski jednak, jakkolwiek zawsze powolny dla swej małżonki, tym razem nie usłuchał jej prośby.

— Źle czynisz, Marjo, że się wstawiasz za tą kobietą, — rzekł, — nie warta ona tego, — znasz jej winy.

— Znam je mój małżonku, a jednak mam dla niej współczucie. Nie bądź surowym, pomyśl, że to kobieta, która uległa obłędowi i pokusom.

— Na pokusy nie była wystawioną, lecz owszem innych na nie wystawiała, odparł król, — z takich istot, zdolnych do wszelkich zbrodni, niegodnych ludzkiego imienia, należy świat oczyścić!

Marja Kazimiera zamilkła; musiała przyznać, że król miał słuszność.

— I jakiż wyrok zapadł? — zapytała po chwili.

— Wyrok sprawiedliwy, — odrzekł król.

— A brzmienie jego?

— Śmierć z ręki kata.

Marja Kazimiera zakryła twarz rękami.

— To straszne! — szepnęła.

Król, nie chcąc się dać zmiękczyć, wyszedł.

Królowa ostała wzruszona. Ocalić skazanej nie mogła, ale czuła dla niej tyle współczucia, że postanowiła nagle pójść do niej i przynajmniej pocieszyć ją.

Nie mogła jednak tego uczynić jawnie, musiała czekać wieczoru.

W towarzystwie z dam dworskich, wieczorem, boczną furtką, królowa opuściła zamek i udała się do pałacu skazanej.

W pokoju wojewodziny paliło się kilka świec.

Gdy królowa weszła i odsłoniła twarz, uśmiech tryumfu przebiegł twarz skazanej.

Marja Kazimiera przychodziła do niej.

— Wojewodzino, jakże cię to zastaję? — rzekła królowa z wzruszeniem.

— Jak pokonaną, zwyciężoną, najjaśniejsza pani, — odpowiedziała dumnie Jagiellona, — silniejszy zwycięża, słabszy ginie, to jest tajemnica życia! Gdybym ja zwyciężyła, może Jan Sobieski, byłby tutaj, a zwyciężył, więc jam w więzieniu.

— Przybyłam do ciebie, wojewodzino, aby ci okazać moje współczucie, — rzekła królowa z dobrocią, — wierzaj mi pani, że mam go dla ciebie więcej, niż miećbym chciała i powinna.

— Nie żądam współczucia i litości, królowo, — rzekła Jagiellona z lodowatym chłodem, — wiem, że mi już nic pomóc nie może! Ciekawam tylko, jak daleko względem mnie się posuną!

— To okropne! — szepnęła Marja Kazimiera, — i w takim usposobieniu myślisz umrzeć, nieszczęśliwa?

Jagiellona drgnęła.

— Umrzeć? — powtórzyła, nie chcąc uwierzyć, czy słyszała dobrze, — umrzeć?... Więc tak zdecydowano? Ha, jeśli tak, to ostatniem mojem słowem będzie przekleństwo dla tych, co się za sędziów moich narzucili!

— Lepiejbyś uczyniła poddając się i prosząc o łaskę wojewodzino, — rzekła królowa.

— Prosić o łaskę? Ja? zawołała Jagiellona z szatańskim uśmiechem, — odmawiam wszystkim prawa sądzenia mnie i karania!

Królowa nie mogła dłużej pozostać przy tej kobiecie. Wszystko tu było stracone, nie było uznania winy, nie było żalu tylko upór, nienawiść i przekleństwo.

Marja Kazimiera z damą dworu opuściła pokój uwięzionej i w korytarzu spotkała starego zakonnika, który właśnie szedł do niej.

— Dobrze, że przychodzisz, czcigodny ojcze, — rzekła do niego, — będziesz miał wiele do czynienia i spełnisz dobry uczynek, jeśli tę zatwardziałą duszę zmiękczysz i nawrócisz! Niech ci w tem Bóg dopomoże, czcigodny ojcze!

Mnich poznawszy królowę, oddał jej ukłon i dopiero po jej odejściu postanowił pójść do uwięzionej.

Wkrótce potem przybył do pałacu Czarnowski z dwoma innymi panami. Za nimi szedł kat. Zastali oni zakonnika, jeszcze na korytarzu i wzięli go z sobą do pokoju skazanej, który oficer straży, im otworzył.

Gdy Jagiellona ujrzała trzech poważnych dygnitarzy, a za nimi kata, mnicha i oficera straży, domyśliła się wszystkiego.

Noc już zapadła.

Blada, lecz nieugięta patrzyła Jagiellona na wchodzących.

— Przychodzicie po mnie? — rzekła z pogardliwym uśmiechem, — tak, kata nawet przyprowadziliście ze sobą, ażeby wykonał wyrok! Wybraliście noc dla spełnienia waszego dzieła! W nocy chcecie mnie zamordować!

— Jagiellono Wassalska! wysłuchaj wyroku najwyższego trybunału, — przerwał Czarnowski donośnym głosem, — po dokładnem stwierdzeniu twej winy, zapadł prawny i obowiązujący wyrok, skazujący cię na śmierć z ręki kata. Wyrok ten będzie wykonanym o świcie na podwórzu tego pałacu.

— Nie macie prawa odbierać mi życia, — rzekła Jagiellona drżąc z gniewu, — nie jesteście mymi sędziami!

— Słyszałaś wyrok... do rana masz czas wyspowiadać się i oczyścić z grzechów, — mówił Czarnowski dalej, — mistrzu oddaję ci skazaną!

Hrabia Czarnowski i dwaj wojewodowie opuścili pokój. Oficer warty i kat poszli za nimi. Tylko zakonnik i służąca pozostali przy skazanej.

Służąca padła na kolana i płacząc zasłoniła twarz rękami.

Spowiednik zbliżył się do skazanej, Jagiellona oddaliła go zimno.

— Nie próbuj mnie zmiękczyć i nakłonić do żalu, ojcze pobożny, — rzekła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

To, o czem obserwacje każą mi napisać

Teraz muszę się streścić. Wyliczyłem pokarmy i używki szkodliwe dla zdrowia, a znachodzące się w powszechnem użyciu. Dlaczego to wszystko jest szkodliwe? Bo podnieca ustrój do większej czynności, jak bat podnieca konia. Po największej części ustrój takiego wytężenia długo znieść nie może i choruje odczuwalnie i nieodczuwalnie. Bardzo to ładnie powie ktoś, ale w rzędzie tu wyliczonych szkodliwości znachodzi się to wszystko co zwykle jadamy, a odrzuciwszy to, nic już nie zostanie i chyba umierać z głodu. Ciężką miałbym na to odpowiedź, gdyby nie drobna okoliczność: próba na sobie samym. Ta próba, kosztująca wiele walki z nawykami, wypaczeniem zdrowych instynktów i t. p. anomalij, pozwala mi dziś z czystem sumieniem dać taką odpowiedź, jakiej nie usłyszycie na żadnym wykładzie i w żadnej książce służącej do nauki nie wyczytacie, a jednocześnie będąca prawdą czystą jak łza, oto, że oprócz chleba naszego powszedniego i to w formie jaką go nam Przyroda przygotowała, łącznie z owocami — wszystko inne jest mniej lub więcej szkodliwe. Wszak opisałem Wam, wyrodków przy pomocy różnych obserwacyj, więc łatwo przyjdzie porównanie. Tego nikt nie zaprzeczy, ale co do przyczyny samej, o! to i owszem! Powiedział któryś myśliciel, że gdyby matematyka wpływała jakimkolwiek sposobem na nasze niezadowolenie, — niebrakłoby kandydatów na zbijanie jej dowodów. Tonąc po uszy w zarozumiałości, wielkiem rozumieniu o sobie i wynoszeniu się ponad wszystko, powiedział sobie zwyrodniały człowiek, to monstrum wykolejone, że jest oryginalnością i basta! Powiedział sobie człowiek, że Przyroda jest automatem i daje się wyrównać sztuką i koniec!

A tymczasem zapomniał, że wszystko w Przyrodzie ma swoje celowe przeznaczenie. Chodzi tylko o zrozumienie i to jest sęk. Inna rzecz, że pewnej pszczole się zdaje, że na to miód zbiera bo jej smakuje. Ale nie widzi już tego, że zbieranie miodu nie jest celem głównym, a zapładnianie kwiatów! Obserwacje wykazały, że Przyroda automatem nie jest, przeciwnie, jest przerażająco ścisłym matematykiem. Wszelkie ustroje żywe, przerażająco ściśle zmontowane z prawem, jakie nimi rządzi. Odbieżenie na włos od tego prawa, na włos też obniża jego wartość, tak jak zgubiony grosz, obniża o grosz wartość kapitału! Umiał świat materjalny obliczyć wartość swego kapitału i wycyzelować różne przysłowia o oszczędności, ale w ekonomję zdrowia nikt jeszcze nie wniknął z taką subtelną precyzją. Dlaczego? Ano, dlatego, że człowiek zaufał sztuce. Komuż to przychodzi nawet na myśl, że źle żyje i sam sobie dołek kopie z największem staraniem? Kto tak rozumuje, że wyzbywanie się potrzeb czyni człowieka wolnym i niezależnym, inne przed nim odkrywa horyzonty i inne oblicze Stwórcy mu się okazuje? Gromadzić i gromadzić! Oto hasło dzisiejszego dnia. Byle wybrnąć samemu z kieratu gonitwy, byle obedrzeć ze skóry kogo się da, sondować, eksploatować, łupić jakimkolwiek bądź sposobem. A przecież Chrystus Pan inaczej uczył, sam sobą dając przykład. Wszyscy twórcy religij, jakiekolwiek są na świecie i mają etyczną wartość, wszyscy stoją na stanowisku wyzwolenia się z potrzeb ciała. Co to za rozkosz być wolnym! Niestety umysł ludzki, przez niewłaściwy pokarm ciała, stał się też niewłaściwym i wynalazł inną logikę: Poszedł szerszą drogą, nie widząc tego, że u celu tej drogi leży nie wybawienie, ale spodlenie, nie wolność, a upadek ciężki. Mówi się o wychowaniu fizycznem, o zahartowaniu woli, nie poto, ażeby utrzymać rasę człowieka o doskonałem zdrowiu, ale poto, aby pobić wroga. By znieść trudy wojny i móc zabijać. Jest nam ciasno i wiecznie mało nam wszystkiego. Od wieków wydzieramy sobie mienie i dorobki nie szczędząc życia bliźniego i siejąc nędzę. Czemu? Bo tak każe owa drapieżna logika wykolejonego umysłu.

Dopiero gdy człowiek zmieni pokarm, gdy używki pójdą w kąt, a ciało zacznie być zdrowem od podstaw, wtedy też zaczyna widzieć i rozumieć drapieżność zaborczej logiki, żarłoczności wilczej, rabunkowej natury wykrzesanej z podniet wszelkiego rodzaju — i krzyżem świętym się żegna, jako, że tego przedtem nie widział. Jakto nie widział? Gadanie! Przecie widział u innych różne zuchwałe zapędy, jakąś nieuczciwość, obgadywanie, dwulicowość i t. d. Tylko u siebie nie widział nic złego. Teraz zobaczył! Przejrzał i zaczął badać samego siebie z tą samą ścisłością, z jaką patrzał na drugich. Nauczył się patrzeć na swoje dzieła, a innym przebaczać. I oto pewnego dnia poczuje, że w nauce Chrystusa są rzeczy przepiękne i prawdziwe, jest słodycz ubóstwa, jest miłość bliźniego, a na świecie jest rabunek, któremu i on służył dzielnie, dobrze się przedtem napuszywszy. Czyli jednem słowem, wejdzie w sam środek tego, o czem mówi przysłowie: W zdrowem ciele i duch zdrowy.

Ze wszystkich rzeczy, ta będzie najlepszą, która sprzyja zdrowiu i jakkolwiek człowiek sam sobie nie chce być wrogiem, nie umie niestety doceniać wartości tej rzeczy najlepszej i w dodatku ze wstydem to wyznać trzeba, kompletnie na niej się nie zna. Powtóre walczyć nie chce. Albo już nie może. Wymyśla różne pozory, ogłupia sam siebie na wszelkie sposoby i rzecz zostaje jak była nietknięta lub nawet gorsza.

Sztuczność i wymyślność pożywienia zrobiła i tę krzywdę, że obdarła nas ze zdrowej woli. Jej siła obdarła i nagięła się do przewrotnych kierunków, wytwarzając upór w kierunku najmniejszego oporu. Kto chce sprawność woli podnieść, musi zaczynać powoli. Słaby koń więc słaby balast dać mu do dźwigania, inaczej się przemęczy i głębiej zcherlaczeje. Dlatego w tym kierunku potrzebne są wskazówki. Uważny czytelnik dość ich mógł pozbierać z moich artykułów. Trzeba się nauczyć ekonomji zdrowia, tak jak się uczy ekonomji grosza, a zawsze szukać przyczyny oporu w pokarmach podniecających. Oszczędność zdrowia musi wydać kapitał oprocentowany, jak oszczędność grosza go wydaje. Gdy dwuch kupców o jednakowym obrocie i zyskach, a nawet wydatkach wykażą nierówne bilanse, to prawdziwą przyczyną tego będzie drobna rzecz napozór. Jeden z nich nie zwracał uwagi na okruszyny zsypujące się z wagi. Pół grama rozsypanej mąki, cukru, lub krup, przy każdem ważeniu daje po setnym ważeniu 50 gramów zniszczonego towaru. Ileż to da po tygodniu, a ile po roku takiej gospodarki? Taż samo sprawa jest ze zdrowiem: Gdy każda z podniecających używek, choćby tylko leciutko szarpnie twoimi nerwami, to ci je wkońcu stargają na strzępy. Wszystko co podnieca zrazu, męczy potem, i w rezultacie wydać musi chro-

niczne zmęczenie — nudę. Wtedy to, odbywa się gonitwa za rozrywkami, za sensacjami szarpiącemi nerwy, karciarstwo, zmysłowość dzikiego zwierzą, a urasta pycha jednocześnie przy obniżaniu się wartości moralnej człowieka upadającego. Upadający człowiek, to wstrętny, ale zarazem smutny obraz dwudziestego wieku. Lecz upadek, któremu równocześnie towarzyszy całkowite złamanie woli, jest już najwstrętniejszy, wtedy bowiem widzicie tarzającego się w błocie pijaczynę, rabusia mordującego bliźniego dla grosza i zwyrodnienie płciowe. Jeśli czytasz gazety, powiedz: nie stają dębem włosy na głowie z tego co się dzieje? Zali nie mnożą się upadlające wypadki z dnia na dzień i nie ginie ludzka dusza w odmętach najpodlejszych namiętności? Kandydaci na takich ostatecznych zwyrodnialców, też nie odrazu się takimi stają: staczają się zwolna w przepaść proporcjonalnie do upadku siły żywotnej i jej duchowego towarzysza: woli. Kto się z tem zgadza niech zawczasu o tem myśli, że upadki to rzecz ludzka, co dziś mnie, to jutro tobie. Złe życie nikomu bezkarnie nie ujdzie.

Ludwik St. Unsing.



Poradnik gospodarczy.

Tuczenie gęsi.

Polskie gęsi, dzięki zwyczajowi usilnego podskubywania, przynajmniej dwa razy w ciągu lata, a czasem nawet trzy razy, są bardzo zdrobniałe i mało mięsiste co stanowi ich największą wadę. Zabierając się do tuczenia, musimy na to choć trochę zaradzić dając im paszę produkującą mięso, a nie tylko tłuszcz, a więc przedewszystkiem dobry, ciężki owies, a nie jęczmień albo kukurydzę, które dadzą rzadki, żółty tłuszcz zamiast przyrostu mięsa.

Wybierając gęsi do tuczenia musimy się starać o sztuki duże ważące przynajmniej 4—6 klg. w stanie chudym, mające długą i szeroką pierś, grzbiet równy podbrzusze głębokie. Takie sztuki trzymamy w przegrodach na dworze po 10—20 sztuk, najlepiej z jednego stada pochodzących, bo łączone z r ó ż n y c h stad bywają niesforne i kłótliwe, a w czasie tuczenia potrzebny jest spokój.

Na noc zapędzamy gęsi do zagród w szopie, gdzie również mogą przebywać w razie niepogody. W początkach naturalnego tuczenia dajemy gąskom ziemniaki parowane i tłuczone, wymieszane z otrębami pszennemi w stosunku 1 klg. otrąb na 4 klg. ziemniaków i do tego łyżkę stołową węgli drzewnych tłuczonych, które ułatwiają trawienie. — Tę paszę daje się rano i w południe ile zjedzą, wieczorem zaś owies moczony przez kilka godzin w ilości 100 gr. na sztukę.

Zamiast ziemniaków można dawać surową siekaną marchew pastewną albo też buraki. Jeżeli gęsi przyzwyczajone były wcześniej do marchwi, to nie potrzeba jej siekać, zjedzą nawet dużą całą marchew szczypiąc ją po trochu. Bardzo chętnie jedzą gęsi kłęby bulwy, wszystkie te okopowe daje się w ilości nieograniczonej, ile tylko zechcą zjeść przez 10—12 dni, a to przygotowawcze tuczenie winno dać przyrostu około 2 klg., jeżeli zachowane były odpowiednie warunki, t. j. zapewniony spokój, czystość i regularność żywienia.

Jeśli jest do rozporządzenia mleko odtłuszczone to można je stawiać do picia, co doskonale wpłynie na rozwój umięsienia piersi.

Po tym pierwszym okresie przygotowawczym trzeba jeszcze ograniczyć możność ruchu gęsi, a więc zmniejszyć przegrody, które powinny mieć ruchome przęsła, albo przenieść gęsi do kojców zaopatrzonych w podłogę tylko w przedniej części klatki, aby pomiot mógł spadać w tylnej części do szuflad umieszczonych niżej. Przed rozpoczęciem dotuczania trzeba koniecznie zbadać, czy gęsi nie mają pasorzytów a mianwszy, które je niepokoją i hamują tuczenie. — W razie gdyby się znalazły wszy, można je wytępić, podsypując po szczypcie fluoridu sodu pod każde skrzydło, na kark, na grzbiet, z obu stron podbrzusza, na miejscach, gdzie nogi stykają się z brzuchem i z obu stron pod ogonem. Doskonały ten środek można nabyć w większych składach aptecznych.

Na dotuczenie gęsi liczymy od 15—20 klg. czystego, ciężkiego owsa, albo 15 klg. owsa i 5 klg. kukurydzy. Ziarno dajemy po wymoczeniu w wodzie przez 6 godzin. Woda do picia powinna być czysta dosypujemy do niej węgielki drzewne gniecione.

Gęś uważamy jako tuczoną, gdy skrzydła opadają z obu stron i nie krzyżują się na plecach. Pierś powinna być dobrze obłożona równym pokładem tłuszczu, skóra gładka, bez sypuł, które obniżają wygląd i wartość gęsi. Waga powinna się podwoić od chwili rozpoczęcia tuczenia, wątroba dochodzi do dużych rozmiarów, jest biała i delikatna (waga przeszło pół klg. czasami do 800 gr.). Jama brzuszna i kiszki pokrywają się grubą warstwą białego ścisłego szmalcu, przy nadużyciu kukurydzy szmalec jest żółty i rzadki. Daleko lepszy gatunek mięsa i tłuszczu niż kukurydza daje groch jeśli mamy go do rozporządzenia; a brak jest owsa, to można tuczyć jęczmieniem z 25 proc. dodatkiem grochu jedno i drugie ziarno moczone.

Lepsze i jeszcze prędsze wyniki z utuczenia przy napychaniu kluskami z mielonej jaknajmiałcej pszenicy, owsa, jęczmienia (z tych dwóch zbóż mąka musi być przesianą). Zamiast kukurydzy, czasem używają nawet żyta, ale to daje najgorsze wyniki. Mąkę zarabia się wodą, zagniata na ciasto zwykłym dodatkiem węgli tłuczonych i trochę soli, poczem ręką wałkuje się długie wałeczki grubości małego palca pokrajane na kluski, długie na 5—6 centymetrów. Gdzie dużo gęsi ma być tuczonych opłaci się nabycie maszynki do robienia klusek, którą można kupić w składach przyborów hodowlanych.

Gęś przytrzymuje się między nogami, wyciąga się szyję do góry ku przodowi i wkłada się kluski umaczane w wodzie i dobrze śliskie, posuwając je aż do wola. Zaczyna się zwykle od 2—3 klusek rano i wieczorem, dając w między czasie marchew. Za każdem daniem powiększa się ilość klusek, omijając jedno danie, o ile w wolu znajdują się jeszcze resztki nieprzetrawione, które z łatwością dają się wyczuć. W razie powtarzającego się niedotrawienia przez dwa dania, tj. przez dobę, należy gęś bezzwłocznie zabić.

Przy tuczeniu przymusowem dochodzi się szybko do wprawy, wypadki uduszenia trafiają się rzadko, a wyniki są doskonałe.

Niekiedy praktykowany jest jeszcze sposób przymusowego tuczenia, polegający na nasypywaniu do dzioba grochu moczonego albo kukurydzy, ten sposób daje wyniki cokolwiek lepsze niż tuczenie na swobodzie.

Taki czy inny system zostaje przyjęty, w każdym razie trzeba pamiętać o zachowaniu bezwzględnej czystości i obfitym podściole. Przed zabiciem należy przegłodzić gęś przez 24 godziny, dając tylko dużo wody do picia.

Poradnik kucharski.

Wołowina zamiast zwierzyny. Naszpikować piękny kawałek mięsa słoniną i włożyć w ocet na cztery dni dodawszy pokrajanej cebuli, pieprzu, pietruszki, soli i utłuczonego jałowca. Chcąc na stół podać, trzeba udusić mięso w rondlu, dodać nieco masła, rozpuścić na ogniu, wsypać łyżkę mąki, wstawić na ogień i mięszać. Dodać trochę pokrajanej cebuli, tego samego octu, nalać rosołem, dodać czerwonego wina, włożyć kawałek cukru, skórki cytrynowej, utłuc jałowcu, zawinąć w czysty płatek i gotować, dopóki sos nie zacznie się wysadzać. Następnie przecedzić przez sito, włożyć w sos drobno pokrajanej szynki, wcisnąć cytrynę i zagotować po raz drugi. Wreszcie zafarbować sos karmelem, ułożyć mięso pięknie pokrajane na półmisku, oblać tym sosem, ustroić półmisek małemi kartoflami, poprzednio ugotowanymi i skrobanym chrzanem.

Polędwica. Chcąc mieć dobrą polędwicę, nie powinno się jej piec dłużej, jak 1 godzinę; jeżeli jest mała, pół godziny lub trzy kwadranse. Doskonałą jest polędwica, jeżeli na parę godzin przed pieczeniem natrzemy oliwą, poczem soli się ją dopiero na brytwannie.

Drugi sposób również dobry. Wytrzeć polędwicę na parę godzin przed pieczeniem cytryną, soli się ją dopiero na krótko przed wydaniem.

Polędwicę podaje się na różne sposoby. Można upieczoną ponakrawać i przekładać chrzanem, poczem wstawia się na chwilę do pieca. Można przekładać ją masłem serdelowem i obłożyć dookoła jarzynkami, można też obłożyć makaronem, polanem masłem, podając do niej osobno sos z truflami i maderą. Żeby polędwica była bardzo soczystą, trzeba ją naszpikować i piec na bardzo gorącym ogniu.

KRONIKA.

Ohydne morderstwo pod Chrzanowem. Z Chrzanowa donoszą o zbrodni wykrytej w okolicy Libiąża Małego w powiecie chrzanowskim. Niejaki J. Ptasiński lat 33 zamordował w okrutny sposób 21-letnią żonę wraz z 3-letniem dzieckiem, gdy wracał z niemi z gościny późnym wieczorem. Zwłoki morderca zakopał w rowie. Znalazła je onegdaj siostra zamordowanej, która podejrzywała męża swej siostry o dokonanie zbrodni. Powodem morderstwa była miłość Ptasińskiego do 40 letniej wieśniaczki Parafińskiej, którą również aresztowano.

Bójka w cerkwi. W murach cerkwi grecko-katolickiej, t. zw. wołoskiej we Lwowie, doszło w ubiegłą niedzielę do skandalicznej awantury, która w lwowskim świecie katolickim wywołała ogólne zgorszenie. Już przedtem konsystorz grecko-katolicki został uprzedzony, że Starorusini, roszczący sobie prawo do cerkwi wołoskiej z tego tytułu, iż jest ona prywatną własnością staroruskiego instytutu stauropigjalnego, uważają za prowokację świeżo zaprowadzony przez ukraińskich księży zawiadujących cerkwią wołoską zwyczaj śpiewania hymnu „Boże Wełykij Ukraine spasy". Konsystorz miał zarządzić odpowiednie środki zaradcze, zapobiegające awanturze. Tymczasem w niedzielę po sumie zaczęto śpiewać ów hymn. Staroruska młodzież akademicka w liczbie około 300 studentów odpowiedziała na to chóralnym śpiewem świeckiej pieśni „Za Ruś światuju". Oba hymny mieszały się, tworząc potworną kakofonję. Powstało ogromne zamieszanie, które przeszło w bójkę na kułaki i laski. Tłum pobożnych rzucił się ku drzwiom wyjściowym, które przez kogoś zostały nagle zamknięte. Okoliczność ta spotęgowała panikę. Jedynie dzięki perswazjom rozważniejszych osób nie doszło do rozlewu krwi.

Zasypani śniegiem. Z Kut we Wschodniej Małopolsce donoszą: Kilka dni temu w czasie burzy śnieżnej wracali z wysoko położonej połoniny huculi ze stadem owiec. Zawieja śnieżna była tak gęsta, że stracili kierunek i zmuszeni byli zatrzymać się w drodze. Śnieg zasypywał powoli zbłąkanych, a śnieżyca ani na chwilę nie ustawała. Do rana byli już zupełnie przysypani i skostniali od zimna. Gdyby nie pomoc jaka nadeszła z pobliskiej wsi, od oczekujących napróżno krewnych, huculi ponieśliby śmierć. Odgrzebanych przeniesiono na noszach do domów.

Samochód w restauracji. W ubiegłą niedzielę miasto Zgierz było widownią niezwykłego wypadku samochodowego. Wieczorem samochód ciężarowy naładowany trzodą, będąc w drodze z Płocka do Łodzi, kierowany przez szofera Łuczyńskiego, zjechawszy z drogi, usiłował zatrzymać się przy ul. Łęczyckiej przed znajdującą się tam restauracją, Szofer, jadąc pełnym gazem, przed samą restauracją usiłował w jednej chwili zahamować samochód. W tym momencie na skutek silnego biegu, mimo puszczenia w ruch hamulców, samochód wjechał na chodnik, najeżdżając na idące w tej chwili kobiety: 30 letnią Teodozję Barylską i 22-letnią Franciszkę Kwiatkowską. Jedna z kobiet wkrótce zmarła. Szofer Łuczyński straciwszy zupełnie orjentację, całym pędem uderzył samochodem w mur domu, w którym mieści się wspomniana restauracja. Na skutek silnego uderzenia frontowa ściana została rozbita a samochód utorowawszy sobie drogę wjechał do lokalu restauracji. W zakładzie tym powstał wielki popłoch wśród przebywających tam gości. Szofera aresztowano.

Strata pięciorga dzieci w jednym dniu. We wsi Bratwinie tuż pod Grudziądzem wydarzył się tragiczny wypadek, w którym straciło życie pięcioro dzieci w wieku lat od 2 do 9 ciu. Gospodarz Widomski wyjechał wraz z żoną za interesami do sąsiedniej wioski, pozostawiając w domu dzieci zamknięte w pokoju, gdzie przedtem napalono w żelaznym piecu. Kiedy w dwie godziny później Widomski powrócił, nie mogąc się dostać do domu, rozbił szybę w oknie, przez którą wydobywał się ostry zapach czadu węglowego z zepsutego pieca. Wszedłszy do izby, Widomscy zastali wszystkie swe dzieci martwe.

Kosz zatrutych jabłek. Donoszą z Wilna: Na pograniczu w miejscowości Biały Bór, w rejonie Radoszkowic, do znanego działacza polskiego Jacyniewicza przyniesiono w upominku przez posłańca kosz jabłek. W czasie kolacji Jacyniewicz po spożyciu paru jabłek zmarł w okropnych męczarniach. Jak się okazało, był to akt zemsty ze strony komunistów białoruskich za zwalczanie ich roboty burzycielskiej.

Matka a wyrodny syn. Podczas rozprawy sądowej w Braunsbergu pod Królewcem, rozegrały się dwie

dramatyczne sceny. Na ławie oskarżonych zasiadł 24-letni kelner Franciszek Braun, który zamordował w lesie dwoje dzieci kolejarza Heudecka. Na początku rozprawy ojciec zamordowanych dzieci rzucił się na Brauna i począł go dusić z okrzykiem: „Gdzie są moje dzieci, przeklęta świnio!?" Woźni z trudem wyrwali oskarżonego z rąk nieszczęśliwego ojca. Gdy się wreszcie sala uspokoiła i sędzia począł przesłuchiwać oskarżonego, nagle dał się słyszeć stuk spadającego na ziemię ciała. To z ław publiczności obsunęła się na ziemię matka oskarżonego, której pękło serce. Braun, dwukrotnie już karany za czyny niemoralne, namówił spotkane dzieci do udania się z nim na przechadzkę do lasu i tam najpierw zadusił 5 letniego chłopczyka, poczem rzucił się na jego o rok starszą siostrę. Braun wbił jej nóż w serce, poczem umknął. Niecny zbrodniarz skazany został na karę śmierci przez ścięcie toporem.

Z miłości do konia. Przed trybunałem w Leoben rozegrał się ciekawy proces o shańbienie grobów. Jako oskarżony stanął parobek Michał Haag, który dopuścił się przestępstwa z miłości dla konia. Haag jest parobkiem u pewnego właściciela dóbr w Górnej Styrji i od kilkunastu lat posługiwał się w swoich czynnościach koniem, którego pokochał serdecznie i który w braku rodziny był jego jedynym wiernym przyjacielem. W ostatnich czasach koń, widocznie pod wpływem podeszłego wieku, zapadał na zdrowiu, co biedny parobek odczuwał bardzo przykro i widocznie bardzo nad tem bolał. Jakiś dowcipniś poradził mu zatem, aby poddał konia kuracji odmładzającej, żywiąc go zmielonemi kośćmi. Haag w swojej naiwności dał się wziąć na kawał i wykombinował sobie, że najlepsze do tego celu będą kości ludzkie. Z miłości dla konia nie zawahał się zatem pójść w nocy na cmentarz, rozkopać kilka mogił i zabrać kości do domu. Następnie na żarnach domowych zmełł kości, z mąki zrobił papkę i dawał koniowi to oryginalne lekarstwo. Zbrodnia wyszła na jaw i żandarmerja ku zdumieniu swemu znalazła w komórce poczciwego parobka kilka piszczeli ludzkich, ukrytych w worku pod łóżkiem. Aresztowany Haag przyznał się zupełnie dobrodusznie i szczerze do winy i usprawiedliwiał się przed sędziami: „Moje konisko tak źle wyglądało i tak mi go żal było, że mi serce z bólu pękało. Cóż było robić, przecie chciałem go ratować!" Sąd wziął pod uwagę okoliczności łagodzące, jak miłość dla konia, młody wiek i niedoświadczenie oskarżonego i nieskazitelną przeszłość i skazał Haaga na 8 dni aresztu.

Marki z podobizną Ojca św. Nigdy jeszcze żaden znaczek pocztowy nie posiadał wizerunku papieża. Od chwili, gdy monety Piusa IX. zostały wycofane z obiegu, wizerunek papieża stracił wszelki oficjalny charakter u wszystkich władz państwowych. Ale obecnie w najbliższej przyszłości ukażą się znaczki pocztowe z podobizną papieża, które zostaną wydane w Toledo i Compostela pod nazwą katakumbowych. Okres ich obiegu będzie bardzo ograniczony. Znaczki te obok wizerunku Piusa XI. będą miały podobiznę króla Hiszpanji. Nazwa „katakumbowe" pochodzi stąd, że dochód ze sprzedaży ich przeznaczony jest na odbudowe katakumb św. Damazego i Paetextatusa oraz na sfinansowanie przeprowadzanych tam robót wykopaliskowych. A zatem poraz pierwszy w historji obraz papieża znajdzie się na znaczku pocztowym.

Zastrzelony djabeł. Pewien wieśniak w Jugosławji sprzedał na jarmarku dwa wołki, a pieniądze schował do komody w izbie. Nazajutrz wieczorem poszedł z żoną, starszym synem i córką do gospody na muzykę, a w domu zostawił tylko najmłodszego, dwunastoletniego chłopca. Późnym wieczorem posłyszał, że ktoś śmiało do drzwi się dobija. Zerwał się i pyta: „Czy to tatuś i mama?" Drzwi się w tej chwili szeroko rozwarły i w oświetlonej izbie ukazał się w całej paradzie djabeł, z koźlimi rogami na głowie, gębą czarną, jak sadza i wywieszonym czerwonym jęzorem. „To nie tatuś — odparł srogo djabeł — tylko ja, Djabelska Mość! Ukłoń mi się pokornie i jeśli chcesz, abym cię w tej chwili nie porwał do piekła i mów zaraz, gdzie ojciec schował pieniądze za woły!" Wystraszony chłopiec wyjąknął, pokazując szufladę w komodzie:

— Tutaj, wielmożny panie djable!" — „Tak, to mi się podoba, nie pójdziesz do piekła — rzekł zadowolony pan djabeł, dobył pęk wytrychów, otworzył szufladę, zabrał pieniądze i na odchodnem pożegnał chłopca: „No bądź zdrów, synu, a pozdrów pięknie ojca odemnie!"



Podczas dobywania się djabła do komody, rezolutnemu chłopcu błysła myśl, że to może tylko złodziej, który tylko udaje djabła. Toteż gdy pan djabeł odchodząc, znalazł się przy drzwiach, malec w okamgnieniu porwał ze ściany nabitą fuzję i wypalił djabłowi w plecy. Ten zgłuchym jękiem zwalił się z nóg, chłopiec zaś pobiegł do gospody, a znalazłszy tam ojca, zaczął wołać: „Tato, zabiłem djabła!" Ojciec i wszyscy goście pobiegli na miejsce wypadku i przekonali się, że „djabłem" był parobek z sądniego domu. Nasz pierwszy obrazek przedstawia „djabła" rabującego pieniądze w komodzie, drugi padającego od strzału.

Stulecie angielskiej tajnej policji. Główne biuro tajnej policji angielskiej „Scotland Yard" obchodzi obecnie stulecie swego istnienia. Sprawność londyńskiej policji tajnej stała się przysłowiową, zupełnie zresztą zasłużenie. Najlepiej o tem może świadczyć porównanie stanu przestępczości w Londynie i New-Yorku. Otóż w New-Yorku, liczącym 9,971.000 mieszkańców w ciągu ub. r. było 333.083 wypadki przestępstw, czyli 33 wypadki na 1000 mieszkańców, gdy w ciągu tegoż roku Londyn, liczący 7,660.000 mieszkańców, miał zaledwie 15.662 wypadki przestępstw, czyli 2 wypadki na 1000 mieszkańców. O zdolnościach detektywów ze „Scotland Yard", również dobitnie świadczy fakt, że w ciągu ub. r. w Londynie wykryte zostały absolutnie wszystkie wypadki ciężkich przestępstw.

Grabież 70 tysięcy sztuk bydła. W kozackim okręgu autonomicznym (Kazakstanie) w Rosji sowieckiej władze dokonały masowych konfiskat bydła pośród miejscowych bejów. Ogółem konfiskacie uległo 70 tysięcy sztuk bydła, które stanowi jedyne źródło dochodu dla miejscowej ludności. Wśród ograbionych przez władzę sowiecką rośnie wrzenie.

Niesłychany napad bandytów. Z Meksyku w Ameryce donoszą o niesłychanym napadzie bandyckim na miasteczko Jicotepec w stanie Jalisco. Gdy mieszkańcy byli na przedstawieniu w kinie, do miasteczka wtargnęło 70 uzbrojonych bandytów, którzy obsadzili główną ulicę, wysadzili dynamitem w powietrze ratusz, a na-

stępnie wdarli się do kina i wyprowadzili stamtąd wszystkie kobiety i dziewczęta. Ustawiwszy je pod murem, wybrali z pośród nich 22 najładniejszych i uprowadzili z sobą w góry. Mieszkańcy zaskoczeni przez bandytów i nie mając przy sobie broni, nie mogli stawić oporu doskonale uzbrojonym opryszkom. Wojsko rządowe urządziło pościg za bandytami, lecz dotychczas nie natrafiło na ich ślad.

Tragiczna śmierć księdza polskiego. Donoszą z Nowego Jorku: Jeden z naszych zasłużonych kapłanów polskich w Ameryce, ks. Jan Pawłowski, proboszcz parafii św. Stanisława Kostki w Sayreville, wezwany został do umierającej parafjanki, matki kilkorga dzieci, z pociechami religijnemi. W chwili, gdy matka zaczęła konać, dzieci podniosły taki krzyk, iż kapłan, przejęty żałością, doznał nerwowego wstrząsu. W kilka godzin potem, w drodze do swoich krewnych, dostał ataku i wypuścił kierownicę swego samochodu z rąk. Samochód, który właśnie mijał most na rzece Raritan, spadł wraz z księdzem do rzeki. Ofiarę anewryzmu serca wydobyto z wody, lecz mimo półtoragodzinnych zabiegów nie udało się już uratować go. Zmarły tak tragicznie kapłan pozostawił w Polsce siostrę i trzech braci. Pogrzeb jego ściągnął wiernych z całego miasta. Egzekwje odprawił sam ks. biskup Mc. Mahon z Trentonu w asyście 70 księży.

Nowe banknoty dolarowe. Zakłady graficzne w Waszyngtonie drukują obecnie po kilka miljonów dziennie nowych banknotów dolarowych o mniejszym rozmiarze niż rozmiar pieniędzy, będących obecnie w obiegu. Nowe banknoty opiewać będą na następujące kwoty: 1 dolar, 5, 10, 20, 50, 100, 500, 1.000, 10.000. Blisko 53 procent całego nakładu stanowić będą 1-dolarówki. Nowe banknoty będą wypuszczone w obieg w przyszłym roku. Przekonano się, że mniejsze banknoty nietylko są wygodniejsze dla publiczności, lecz i daleko trwalsze, a zmniejszenie rozmiaru pieniędzy i to tylko tych, które będą puszczone w obieg w roku przyszłym, obniży koszta druku o przeszło miljon dolarów.

Zjedzony patrol. Przed niedawnym czasem rozeszła się wiadomość, że w okręgu holenderskich kolonij na Nowej Gwinei patrol policyjny został napadnięty przez Papuasów i pożarty. Jak z wiadomości nadchodzących z Indyj niederlandzkich wywnioskować można, tragiczny ten wypadek przypisać należy nietaktownemu wystąpieniu dwóch urzędników administracyjnych. z których jeden odpokutował życiem za niewłaściwe swe postępowanie. Rzecz się tak przedstawia: Szef okręgu i komendant policji w Temina-boen okazali się bardzo niegrzecznymi i prowokującymi przy egzekwowaniu podatków u dwóch naczelników szczepu, Radji Moeda i majora Seribau. Pozatem bili oni i znęcali się nad papuasami. Obydwaj naczelnicy postanowili się zemścić. Namówili więc ludność do napadu na patrol policyjny. Gdy postanowiono, że szef okręgu i komendant policji udadzą się w podróż inspekcyjną, wiedział prawie każdy z krajowców, że zostaną pożarci wraz ze swym konwojem. Mimo to nie znalazł się ani jeden papuas, któryby ich przestrzegł przed strasznem niebezpieczeństwem. Na szczęście swoje szef okręgu odstąpił od zamiaru podróży, gdyż dowiedział się, że jego kolega z sąsiedniego okręgu ma zamiar go odwiedzić. Temu tylko zawdzięcza swoje życie. Ale komendant policji wyciągnął z patrolem w drogę. Skoro tylko policjanci wyszli z domu, zostali napadnięci i zabici. Tensam los spotkał komendanta, który słysząc hałas, wybiegł na pole; został on pochwycony i dosłownie zarżnięty. Razem z komendantem liczył patrol 5-ciu ludzi. Pięć tych trupów pokrajali papuasi na kawałki, a mięso rozesłali kawałkami swoim pobratymcom w Pengazinie, Bandani, Sabe i Karina, gdzie je spożyto. Tragarze, niosący bagaże patrolu, zdołali się jeszcze uratować ucieczką i przynieśli hiobową wieść na wybrzeże. Z ich zachowania się jednak i słów można było wywnioskować, że i oni wiedzieli o planie morderstwa. Natychmiast wysłano cztery brygady uzbrojonych policjantów w głąb kraju, by zaprowadzili porządek. Przybycie żołnierzy zrobiło piorunujące wrażenie na krajowcach. Winni ludożerstwa naczelnicy, jak również trzej krajowcy, którzy brali czynny udział w morderstwie, zostali aresztowani. Przy poszukiwaniach znaleziono trzy głowy pożartych policjantów. Z jaką ostrożnością należy postępować w kolonjach z krajowcami, ludźmi stojącymi na najniższym stopniu kultury, dowodzi tego także fakt następujący: Prawie równocześnie z tymi okropnymi zdarzeniami wybuchło powstanie w sąsiednim okręgu, a to z tego powodu, że pewien misjonarz posłany jako nauczyciel, wygrywał sobie przed swoją chatką na flecie. Trzeba wiedzieć, że flet u papuasów jest świętym instrumentem, którego zwykłym śmiertelnikom nie wolno dotknąć ręką, ani do ust przytknąć, a tylko w wyjątkowych uroczystościach religijnych grają na nim kapłani. Dopiero po wielu trudnościach udało się władzom uspokoić wzburzenie krajowców.

Zemsta jawajskiej trucicielki. Wyspa Jawa jest ojczyzną trucizn, których straszne i tajemnicze działanie znane jest tylko krajowcom. Nie rzadko też służy ona im jako zbrodnicze narzędzie i ukryta broń do walki z wrogiem osobistym lub rywalem. Jedna z gazet angielskich donosi właśnie ostatnio o podobnym rodzaju zemsty, który pewna jawajska dziewczyna zastosowała względem narzeczonej swego chlebodawcy, Anglika, u którego była służącą. Kupiec ten nazwiskiem John Marc po ostatecznem osiedleniu się i ugruntowaniu swych interesów na tej wyspie, sprowadził tam zamieszkałą w Londynie narzeczoną, aby zawrzeć z nią ślub. Jego jawajska służąca, prawdopodobnie nie bez przyczyny, była tą decyzją swego pana zrozpaczona i nie dając mu głośnego wyrazu, w innej formie zamanifestowała swój gorzki żal. Oto młoda Angielka zachorowała na krótko przed wyznaczonym terminem ślubu i zawezwany lekarz angielski stwierdził, że jest to skutek zatrucia jedną z owych trucizn, na które żaden Europejczyk nie posiada odpowiedniej odtrutki. Chodziło w tym wypadku o truciznę Ketjuba, działającą bardzo powoli, jednakże śmiertelną. Młodą kobietę wyleczyć mógłby tylko jawajski kapłan lub czarownik, znający środek przeciwdziałający temu jadowi i opierający na tem głównie całą swą władzę nad Jawajczykiem, który nie wiedząc nigdy, czy nie padnie ofiarą podobnej zemsty swego wroga, stara się zawczasu podarunkami i prezentami, zjednać sobie przychylność kapłana. Na szczęście ów lekarz angielski żył w przyjaźni z jednym z takich malajskich znachorów i mimo, że ci niechętnie udzielają w podobnych wypadkach pomocy Europejczykom, skłonił go do okazania jej prawie już umierającej Angielce. Czarownik ten, po przyjściu do łoża chorej, wlał jej tylko do ust kilka kropel jakiegoś płynu, poczem zabierał się do wyjścia. Daremnie starano się go zatrzymać — rzekł tylko na odchodnem, aby byli spokojni i opuścił dom. W samej rzeczy leżąca już na łożu śmierci kobieta przyszła w ciągu kilku dni do siebie. Przerażenie jej jednakże tym niezwykłym wypadkiem było tak wielkie, że natychmiast po zupełnem wyzdrowieniu opuściła tę wyspę trucizn i powróciła do Anglji. Zaaresztowaną pod zarzutem otrucia Jawajkę sąd musiał zwolnić dla braku dowodów, gdyż nietylko działanie tej trucizny jest nieznane, ale jest ona też niemożliwą do odkrycia w organizmie.

RZECZY CIEKAWE.

Największy kościół na świecie.

Przeciętny kościół może pomieścić mniej więcej 1000 osób. Kościół św. Piotra w Rzymie gromadzi w swych murach do 54.000 pobożnych. Ta wspaniała katedra, będąca największą świątynią świata, została zbudowana, według dzisiejszych obliczeń, kosztem około 48,000.000 dolarów, włączając w to wszystkie dodatki z siedemnastego stulecia. Główne prace nad samym kościołem trwały przez 176 lat, od roku 1450 do 1626. Budowla owa jest tak kolosalna, że cały zastęp architektów, pod kontrolą kierownika, prowadzi zwyczajne i nadzwyczajne roboty, które nie ulegają zawieszeniu i są wykonywane przez stale przy nich zatrudnionych robotników.

Obecny kościół stoi na miejscu, w którem w pierwszem stuleciu po Narodzeniu Chrystusa Kajus Kaligula wybudował cyrk. W cyrku tym Neron urządzał widowiska, między innemi tu miało miejsce męczeństwo Chrześcijan. Zachował się przekazywany tradycyjnie w pamięci wiernych z pokolenia na pokolenie, dokładny punkt, na którym został ukrzyżowany św. Piotr i gdzie dzisiaj znajduje się ołtarz. Skromne i proste sanktuarjum św. Piotra ustąpiło miejsca, za panowania Konstantyna Wielkiego w roku 323 wspaniałej bazylice. Dwanaście wieków później kościół tak podupadł, że powzięto plan zburzenia starego, a wzniesienia nowego. Oryginalne plany nowej budowli zostały opracowane przez Bramante'go i zmodyfikowane przez Michała Anioła i innych.

Nie zawadzi przytoczyć kilka interesujących cyfr, odnoszących się do dzisiejszych wymiarów majestatycznej katedry. Nawa — przeszło 49 metrów, szerokość przy wejściu — $27^1/_2$, długość nawy poprzecznej — 137, całkowita długość bazyliki razem z westybulem — 211 metrów, wysokość od posadzki do wierzchołka krzyża na latarni — 132 metry, powierzchnia, na której stoi kościół, obejmuje 15.160 metrów kwadratowych.

Początkowy plan Bramante'go miał kształt krzyża greckiego. Michał Anioł dodał do tego westybul z kolumnowym portykiem. To wszystko wydłużone później w krzyż łaciński z barokową fasadą. Panuje przekonanie, że zasadniczy plan Bramante'go ucierpiał bardzo na późniejszych dodatkach.

Wewnątrz mieszczą się dwie niskie galerje dla chóru, a oprócz tego cztery mniejsze w samej kopule. Główny ołtarz mieści się na wzniesieniu, nadto w Bazylice jest dwadzieścia dziewięć ołtarzy, a w krypcie — cztery. Pod tymi ostatnimi spoczywają ciała świętych i kilku apostołów. W pośrodku całej budowli stoi grobowiec św. Piotra. Obwód kopuły wynosi 150 kroków.

Biedni bogacze.

Sam Malcoln, pomysłowy utalentowany dziennikarz nowojorski wpadł na oryginalny pomysł dokonania ankiety wśród amerykańskich miljarderów, członków słynnego „klubu stu", do którego należeć mogą jedynie... miljarderzy.

Ankieta zawiera jedno zaledwie pytanie: „Czy są zadowoleni z swego życia?"

Odpowiedzi miljarderów amerykańskich, zebrane w książkę, ukazały się obecnie w druku i malują... całą nędzę, a niekiedy i tragedje tych najbogatszych ludzi świata. Okazało się bowiem, iż większość tych „wybrańców losu", krezusów i potentatów poprostu skarży się na swe życie, pozbawione najprymitywniejszej radości i szczęścia. „Król stali" skarży się na zastarzały i niedający się już wyleczyć katar żołądka. Żadne lekarstwa, ani uzdrowiska świata nie mogą przywrócić jego żołądkowi sprawności działania, a kunszt najlepszych kuchmistrzów i opieka całego zastępu lekarzy nie może wywołać apetytu w schorowanym organiźmie.

„Król stali" melancholijnie odpowiedział na ankietę następującemi wynurzeniami: „Właściwie przyczyną mojego obecnego stanu jest ta okoliczność, że przed 40 laty, kiedy cierpiałem niedostatek, zarabiałem na życie... połykaniem żab, glist i wypijaniem do 10 litrów wody! Zrujnowałem swój przewód pokarmowy dla nędznych miedziaków, któremi obdarowywali mnie przechodnie... Zmieniłem coprawda zajęcie — dodaje miljarder — połykacz żab — została mi jednak straszliwa choroba żołądka i jelit. Ani mój majątek, ani zapasy złota nie są w stanie przyczynić się do tego, abym bodaj raz do roku zjadł z apetytem obiad...

Inny znów potentat finansowy, właściciel największych okrętowych warsztatów przyznaje się, że życie straciło dla niego wszelki urok, a to dlatego, że... nie może on zasnąć spokojnym, zdrowym snem.

I tu przyczyną jest cały szereg lat ciężkiej pracy, która poprzedziła nieoczekiwane wzbogacenie się. Ten był w przeciągu 10 lat nurkiem, który pracował na dnie morza w najgorszych warunkach, przy prymitywnych wówczas jeszcze urządzeniach. Rezultat tych lat, spędzonych na dnie morza, uwidocznił się dopiero znacznie później i oto, gdy były nurek został miljonerem — największa rozkosz człowieka, sen zdrowy i spokojny, odbiegł od niego na zawsze.

„Wyczerpany organizm nie może odpocząć w normalnym śnie, noce stają się podobne dniom i nieustający wir całodziennej gonitwy miljonów dolarów, tysiące spraw, tranzakcyj i operacyj powoli przekształca się w jakieś niemilknące nigdy piekło..." — tak mówi o swem życiu ten najbiedniejszy z ludzi, tak wszakże bogaty. Inne odpowiedzi nie zawierają tak tragicznych wyznań, brak im jednak i radości i optymizmu.

Każdego z tych bogaczy gnębi jakaś nieuleczalna czy to choroba, czy manjactwo, i cały, z takim trudem zdobyty, majątek jest im niemal nienawistny.

Korzystają z niego bez uśmiechu, bez radości. Sam Malcoln dołącza do odpowiedzi miljarderów swój komentarz, który brzmi bardzo lakonicznie: „Miljardy nie dają szczęścia, nie zastąpią radości życia, błogosławieństwa snu, przyjemności, nasycenia głodu, beztroskiego śmiechu i wesela". Istotnie... Cóż po miljardach — kiedy się ma stary, zrujnowany, chory żołądek...

Niewidomi w Rosji.

Ilość niewidomych w Rosji jest stosunkowo daleko większa, niż w innych państwach. Zjawisko to objaśnić sobie można tem, że w Rosji już zdawien dawna panuje groźna choroba oczu, trachoma, pociągająca za sobą prawie zawsze, zwłaszcza jeśli się ją zaniedbuje, utratę wzroku. Według statystyki, pochodzącej z roku 1886, było wówczas w Rosji około 190 tysięcy niewidomych, to znaczy, że na każdych 10.000 mieszkańców Rosji przypadało 20 niewidomych. W tym samym czasie na 10.000 mieszkańców przypadało niewidomych: w Danji i Belgji — około 5, w Niemczech, Szwecji i Francji — około 7, w Anglji — około 8, we Włoszech — około 12, w Portugalji — około 14.

Statystyka z roku 1897 wykazuje w Rosji już 250.000 ślepych, przyczem stwierdzono, że najwięcej stosunkowo niewidomych miały narody pochodzenia mongolsko-fińskiego (tak np. u Czuwaszów przypadało 1000 ślepych na każdych 1000 mieszkańców, u Jakutów 1 ślepy na 14 mieszkańców).

Według spisu ludności z roku 1913 było w Rosji wówczas 320.000 niewidomych. W chwili obecnej brak jest ścisłych danych, dotyczących ilości ślepych w Rosji, według jednak obliczeń prowizorycznych liczba ta nie wykazuje w porównaniu z liczbą z roku 1913 zbyt wielkiej różnicy, tak, że bez popełniania większego błędu powiedzieć można, iż w Rosji dzisiejszej jest około 300.000 niewidomych.

Cudowna lampa.

Żyjący tylko w głębiach morskich stwór, zwany czernicą lub sepią, nosi także nazwę „lampa cudowna" — ponieważ pewne części jego ciała zasługują na nazwę lampy. Ryba ta pływa swobodnie w takich głębinach, że do nich nie przenika żaden promień światła, bo tak jego długie, podobne do pasów ramiona, służące do chwytania zdobyczy, jak i znajdujące się poniżej oczu narządy wydawają zupełnie wyraźne światło. W świetle tem porusza się ten stwór jakby w uroczystej iluminacji. Ogółem czernica posiada 22 takich narządów, które wedle potrzeby jaśnieją lub gasną, jak światło elektryczne.

Nieprzemakalne obuwie.

Aby obuwie uczynić nieprzemakalnem, należy zmieszać i zagotować w kamiennem naczyniu 125 gramów żółtego wosku, taką samą ilość łoju, 5 gramów gumy i pół litra oleju makowego. Już po zagotowaniu, gdy ta mieszanina jest jeszcze letnia, wziąć szczotkę, pendzel czy poprostu szmatkę i rozetrzeć dość grubą warstwę tej mieszaniny na obuwie. Jednak przed taką operacją obuwie musi być zupełnie suche. Ten sposób doskonały jest zwłaszcza dla myśliwych czy rolników, którzy całemi godzinami chodzić muszą po mokrej ziemi, a nieraz wprost po wodzie.

---

† **Marja Michalina Harmacka,** przełożona klasztoru N. Marji Panny w Koropcu zmarła w 54 roku życia. Śp. Harmacka wstąpiła do klasztoru, mając lat 11. Była ona prawdziwą pocieszycielką strapionych i opiekunką ubogich. Cześć jej pamięci!

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Stanisław Kaplewicz z Bochni dla Maćka na pośnik 3 zł., Fr. Kapias z Mazancowic dla Maćka 65 gr., Leon Jarolim z Wieliczki 1 zł.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Julja Jurczykówna** w M.: Za piękne a szczere słowa serdecznie dziękujemy. Kalendarz zachowamy. — **Witold Zakulski:** Szarady dobre. Rękopisów, jako druk, posyłać nie można. — **Antoni Szymański** w H.: Wierszy mamy tak dużą ilość, że pomieścić ich nie możemy. Po książki proszę się zwrócić do którejkolwiek księgarni. Wypożyczalni książek jest w Krakowie kilka. Adresu inż. Suchorzyńskiego nie znamy. Wyjątek z listu damy przetłomaczyć. — **Władysław Bienias** w R.: Utwory nadeszły, spóźnione. Cieszy nas, że nasze zabiegi około udoskonalenia „Roli" wydają owoce. Naszem marzeniem obecnie jest „Rolę" powiększyć chociaż o 4 strony, a zrobimy to, gdy będziemy się czuć na siłach, może to sprawić tylko zwiększenie się liczby prenumeratorów. Pozdrawiamy wzajemnie. — **Jan Mazurkiewicz** w W.: Do gazet takich należy „Tygodnik illustrowany", ale to pismo zbyt wybredne. — **Władysław Ciuła** w K. P.: Jeżeli się wie, gdzie ci krewni chociaż mniej więcej przebywali, to trzeba się odnieść do najbliższego konsula polskiego. Ale jak się wie tylko, że w Ameryce, to za ciężka sprawa. Cześć! — **Czytelnik-Robotnik:** Może Pan nabyć wszystkie numera „Roli", których Panu brak. Gdy Pan poda ilość numerów, to i cenę będziemy mogli podać. Leszek jest to zdrobniałe imię od Aleksander. Adresów w Ameryce nie znamy.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Władysław Sołtys z P.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Szabla.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Mowca w j. martwym.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto we Włoszech
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ma rzeka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Jest w kościele.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Instrument muzyczny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Stada koni.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Choroba zwierzęca.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Inaczej uścisnąć.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Żyją w ziemi.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Pustkowie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Jest z tytoniu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Zdrob. imię męskie.

Początkowe litery czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko słynnego patrjoty polskiego.

2. Szarady.

(Ułożył Józef „Tomczyk").

I.

Pierwsze drugie trzecie to biskupi mają,
Pierwsze i czwarte potrzebne na rzeczy.
Całość po chatach wieśniacy śpiewają.
O! już szarada — nikt temu nie przeczy.

II.

Pierwsze chodzą po adwencie,
Ulubione drugie trzecie;
Sąsiad u sąsiada gości,
Jedzą piją do sytości,
Swe całe opowiadają,
Bo już zwyczaj taki mają.

III.

Każdy furman pierwsze trzecie
Zna i pierwsze drugie przecie,
A zaś za całość kobiety
I życie dają — niestety.

IV.

(Ułożył Jan Patulski z O.).

Pierwsza nie zaletą lecz wadą człowieka,
Druga wspak bez „c" na ładunek czeka.
Z pierwszej drugiej bez „c" są wyroby [znane,
Gdyż w mieście czy na wsi wszędzie u- [żywane.
Całość to powiat dumny ze swoich za- [bytków,
Pozostawionych mu przez sławnych przod- [ków.

V.

Pierwszy złodziej czworonożny
Drugi bywa też doniosły.
Trzeci bez „z" owad złośny.
Z całości zawód obnośny.

4. Układanki.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś).

Litera + podaruję = imię męskie.
Spółgłoska w samogłosce = napój.
2 spółgłoski = naczynie na wodę.
Nazwa miesiąca + litera = owad.
Litera + imię męskie + spółgłoska = krewna.
Litera w literze = ptak.

Za rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 5 stycznia 1929 r.

Ponieważ druk numeru niniejszego musieliśmy z powodu świąt przyspieszyć, przeto rozwiązania zagadek z Nru 51 podamy w następnym numerze „Roli".

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Droga szkoła.

— Moja niedoszła teściowa jest niezwykle troskliwą. Aby moja narzeczona nabrała wprawy w zakupach, zabiera nas co drugi dzień z sobą na targ.

— I ciebie także? A co ty tam robisz?

— Ja płacę!



Szczęśliwi z musu.

Dwie kumoszki rozprawiają z sobą o swoich mężach i pożyciu domowem.

— Czy szczęśliwie żyjecie z sobą? — pyta jedna dość potulnej miny.

— Spodziewam się! — odpowiada druga, wyglądająca na Herod babę — ja bym mu dała, gdyby on nie był ze mną szczęśliwy!

— A mój mąż mnie by dał, gdyby był nieszczęśliwy — z westchnieniem przyznaje pierwsza.

Różne skutki.

— Jak tylko mój stary za dużo się napije, to na drugi dzień jest jak rozbity.

— To wam dobrze kumo, bo jak mój się upije, to ja na drugi dzień zupełnie jestem rozbita.

W gospodzie.

— Panie gospodarzu, na ścianie jest pluskwa!

— Wykluczone, o tej porze wszystkie pluskwy są już od dawna w łóżkach.



Dobry podarek.

— I cóż, Kaziu, jak ci się podoba trąbka, którą ci podarowałem na gwiazdkę?

— Cudowna. Tatuś już sześć razy dał mi po dziesięć groszy, abym nie trąbił.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 18 grudnia b. r.

Pszenica	45·00—46·00	Słoma długa	10·00—12·00
Żyto	34·00—34·50	Ziemniaki stoł.	7·00— 8·00
Owies	34·50—35·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień	32·50—33·50	Mąka żytnia	50·00—50·50
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka pszen.	73·00—74·00
Groch zwyk.	58·00 - 60·00	Otręby pszen.	27·00—27·50
Siano słodk.	26·00—28·00	Otręby żytnie	27·00—27·50
Łubin żóły	00·00—00·00	Mąka czerw.	33·00—34·00
Koniczpastew	33·00—36·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 18 grudnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·00 do 1·60 zł.	Jałownik	od 0·95 do 1·50 zł.
Woły	od 1·03 do 1·55 zł.	Cielęta	od 1·46 do 2·03 zł.
Krowy	od 0·71 do 1·25 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·05 do 2·36 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·75 do 3.00